„Piosenki na koniec tygodnia” – projekt muzyczny Remiego Juśkiewicza z Londynu



Remi Juśkiewicz

Rozmawia – Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz

(Wielka Brytania)

Pewnego dnia obudziliśmy się w innej rzeczywistości, która… nas zaskoczyła. Przerażeni zastanawialiśmy się, czego tak naprawdę jesteśmy świadkami. Dziś już wiemy, że może ten strach był na wyrost, ale wtedy… Wtedy potrzebowaliśmy, aby ktoś na chwilę zajął nasze myśli… Któż zrobi to lepiej, jeśli nie artyści… bez których, jak napisałam kiedyś w jednym z moich wierszy, świat byłby „jak niebo bez gwiazd”.

Jedną z takich gwiazd, która rozświetliła serca Polaków w UK (i nie tylko) jest Remi Juśkiewicz z Londynu, zabierający nas

wirtualnie, od niemal samego początku *lockdownu*, w niezwykłą muzyczną podróż po swoim świecie – 10 października miała miejsce emisja 48. odcinka.

Remiego poznałam około półtora roku temu podczas wydarzenia kulturalnego w Polskim Klubie w Slough. To niezwykle utalentowany i uduchowiony artysta, a przy tym człowiek szalenie skromny. Muzyka w jego życiu jest od lat, jednak on sam pozostawał w cieniu innych. Jakiś czas temu sytuacja uległa zmianie. Przekroczywszy próg pięćdziesięciu lat, postanowił, przy wsparciu swojej rodziny i przyjaciół, rozwinąć skrzydła (jak widać, nigdy nie jest za późno!).

Agnieszka Kuchnia Wołosiewicz:

Studia magisterskie na *Kingston University (production of popular music)*, a wcześniej ukończenie z wyróżnieniem kierunku *songwriting* na *British and Irish Modern Music Institute*. Podobno nie zamierzasz na tym poprzestać?

Remi Juśkiewicz:

W tym roku kończę roczne studia magisterskie na *Kingston University* – kierunek *Production of popular music*, natomiast wcześniej rzeczywiście obroniłem dyplom w specjalności *songwriting* na *British and Irish Modern Music Institute*,

działającym pod skrzydłami West London University.

Czy nie zamierzam poprzestać? Zobaczymy, jak będzie ze znalezieniem pracy po skończeniu studiów, więc tak na wszelki wypadek jestem po rozmowach o doktoracie w Kingston. (śmiech)

Jak w ogóle zaczęła się Twoja przygoda z Wielką Brytanią? Od kiedy jesteś na emigracji?

Przyjechałem w 2003 roku. Chciałem trochę zarobić, a po kilku tygodniach wrócić do Polski, ale los potoczył się inaczej i jestem tu do dziś.

Teraz głównie zajmujesz się studiami, tworzeniem, graniem, śpiewaniem, a co było wcześniej?

Imałem się różnych zajęć – sprzedawałem kanapki oraz napoje w zakładach pracy, pracowałem w magazynie firmy rozprowadzającej upominki i gadżety. Obecnie jestem listonoszem w Royal Mail, ale tylko jeden dzień w tygodniu, gdyż większość czasu pochłaniają mi studia i projekty artystyczne.

A jak wyglądało Twoje życie w Polsce?

Pochodzę z Inowrocławia, wsi Cieślin, leżącej cztery kilometry od

tego miasta. Mama z tatą zajmowali się rolnictwem i drobnym handlem, ale oboje bardzo lubili muzykę. Była ona bliska i mnie od dziecka, dlatego rodzice postanowili, żebym uczęszczał do przedszkola muzycznego w Inowrocławiu, a potem do szkoły muzycznej I stopnia w klasie akordeonu.

Na wsi pracy nie brakowało, a nauka w dwóch szkołach – ogólnej i muzycznej – pochłaniała mnóstwo czasu. Byłem raczej kiepskim uczniem. (śmiech) Choć bardziej pasjonowała mnie piłka nożna, to po podstawówce kontynuowałem naukę w szkole muzycznej II stopnia, tym razem w klasie puzonu. Nie ukończyłem jej jednak, gdyż całkowicie pochłonęła mnie gra na klawiszach i zapragnąłem występować w jakimś zespole. Z czasem założyłem kilka grup (bądź dołączyłem do nich), jednocześnie pracując jako instruktor muzyczny w Klubie Kolejarz w Inowrocławiu.

Po odejściu z Kolejarza, gdzie pracowałem przez 10 lat, założyłem prywatną szkołę muzyczną, potem prowadziłem kawiarnię „Europa", która pod moimi rządami zyskała miano „artystycznej". Następnie zostałem właścicielem pubu „Remiza", działającego w Inowrocławiu, a później w Bydgoszczy. We wszystkich tych miejscach królowała muzyka grana na żywo i to z moim udziałem.

Gdyby nie czas pandemii, byłbyś obecnie w swojej trasie

koncertowej, promującej płytę pt. „Nie mów o miłości” do tekstów Grażyny Wojcieszko. Los jednak zadecydował inaczej… Koncerty na żywo zastąpiły internetowe audycje muzyczne *Piosenki na koniec tygodnia?*

Dokładnie 27 marca 2020 roku miałem być w Brukseli z moim kolegą Johnem Bicknel’em w celu rozpoczęcia promocji płyty G. Wojcieszko „Nie mów o miłości”, na której znalazły się moje kompozycje i wykonania. Niestety z wiadomych względów nie było to możliwe – koronawirus. Wtedy też podpatrzyłem, co robi na FB moja koleżanka Dorotka Górczyńska-Bacik. Zainspirowała mnie i zachęciła do prowadzenia audycji muzycznych. Pierwsza z nich miała miejsce właśnie owego 27 marca, czyli zgodnie z datą rozpoczęcia trasy koncertowej, i nosiła tytuł „Piosenki na dobranoc”. Obecnie nazwa jest zmieniona i są to „Piosenki na koniec tygodnia”.

Z tygodnia na tydzień grono odbiorców systematycznie rośnie.

Na początku cieszyłem się, że w ogóle ktoś mnie ogląda. Kiedy okazało się, że jest jakieś sto osób, byłem szczęśliwy. Gdy liczba ta urosła do około trzystu, napisałem podziękowanie. Po pewnym czasie przekroczyłem próg tysiąca wyświetleń – mój rekord. Wtedy naprawdę zabrakło mi słów ze wzruszenia i nie wiedziałem, co powiedzieć.

W audycjach na żywo uczestniczy zazwyczaj około 200 osób, natomiast retransmisje to średnio 800 wyświetleń.

Remi Juśkiewicz podczas nagrywania swojej cotygodniowej audycji

- 



Kiedy odbywają się Twoje transmisje na żywo i jak można Cię „namierzyć”?

Zapraszam w każdą sobotę i niedzielę o godzinie 20.30 w Wielkiej Brytanii (21.30 w Polsce).

Można mnie znaleźć, wpisując w wyszukiwarce FB hasło „piosenki na koniec tygodnia” albo też poprzez użycie hashtagów: #piosenkiremifalko, #piosenkiremijuskiewicz,

#piosenkifałkowski.

W tym miejscu zwracam się z prośbą o udostępnianie moich audycji. Nigdy tego nie robiłem, ale zacząłem doceniać moc FB. Chciałbym dać szansę poznać mnie i moją twórczość osobom, które „czują jak ja”.

W repertuarze audycji znajdują się utwory, do których napisałeś muzykę i których jesteś wykonawcą. A co z tekstami?

Własne utwory śpiewam rzadko. Cała przygoda zaczęła się od spotkania na mojej drodze artystycznej Wiesława Fałkowskiego. Zaowocowało to duetem Remi&Falko – wiersze Wiesia, muzyka i wykonanie moje. Nie jest to projekt sceniczny, jednak zdarza nam się występować razem podczas wieczorków poetyckich. Obecnie, oprócz Wiesława Fałkowskiego, wykonuję utwory z tekstami: Doroty Górczyńskiej-Bacik z Berkhamsted, Aleksego Wróbla z Londynu, Marii Duszki z Sieradza, Grażyny Wojcieszko z Krzywogońca (Bory Tucholskie), Adama Gwary z Izabelina (koło Warszawy), Bianki Kunickiej Chudzikowskiej z Wrocławia, Birutė Jonuškaitė z Wilna na Litwie, Ireny Ewy Idzikowskiej z Cheviot Hills w Szkocji i Staszka Głowacza z Krakowa.

Każda z tych osób pisze w inny sposób, jednak dla mnie najważniejsze jest to, czy w ich wierszach odnajduję przestrzeń

do napisania piosenki. Oczywiście czasem trzeba dokonać zmian w tych tekstach. Jednak wszystko przy pełnym porozumieniu i akceptacji!

Piosenki na koniec tygodnia **nieco ewoluowały. Widzowie mogą je w pewnym sensie współtworzyć.**

Początkowo moje audycje odbywały się każdego dnia. Grałem po trzy nowe utwory każdego wieczoru. W pewnym momencie stwierdziłem, że przecież nie mam ich aż tyle, zatem po jakichś trzech tygodniach od startu, forma musiała ulec zmianie.

Obecnie w każdą niedzielę odbywa się Koncert Życzeń. Zaczęło się od tego, że niektóre osoby prosiły mnie o wykonanie konkretnej piosenki. Oczywiście robiłem to chętnie, ale w pewnym momencie uznałem, iż można dokonać pewnego urozmaicenia. Chciałem też poznać moich widzów i przedstawić ich sobie nawzajem. Stąd też osoba, która zamawia utwór, proszona jest o przygotowanie krótkiej informacji na swój temat. Najczęściej są to treści żartobliwe, z przymrużeniem oka.

Jeśli ktoś chciałbym zamówić piosenkę, wystarczy napisać do mnie na FB lub na maila: remigiusz@hotmail. co.uk. Jedyny warunek jest taki, że muszą to być piosenki, które już prezentowałem w moich audycjach.

Kolejną atrakcją są konkursy, choć nie odbywają się one cyklicznie. W ich organizacji wspiera mnie Wiesiu Fałkowski. Ostatnio widzowie musieli zgadnąć, na jakim instrumencie zagrałem w piosence pt. „Królowa” do słów G. Wojcieszko. Konkurs wygrał W. Majkowski, poprawnie odgadując, że było to *kazoo.*

W przyszłości planuję zapraszać do udziału w audycjach muzyków z całej Europy (Polaków i nie tylko!), a może i ze świata. Podczas Voice of Polonia w Brukseli poznałem wielu ciekawy artystów, którzy będą wykonywać moje utwory w swoich własnych interpretacjach. Myślę, że może to być interesujące dla moich widzów, ale ja też jestem bardzo tego ciekaw.



Violetta Juśkiewicz, żona artysty

W Twoich audycjach zaczęli też pojawiać się goście, czyli m. in. D. Górczyńska-Bacik, G. Wojcieszko, P. Cajdler, J. Pomes, D. Kern.

Jest to kolejna z form uatrakcyjnienia moich recitali on-line. Pomyślałem, że może warto przedstawić szerszej publiczności mniej znanych artystów, takich artystów – hobbystów. Pierwszym moim gościem był Jacek Pomes z Niemiec, który maluje obrazy. Były one wyeksponowane w trakcie audycji. Takich osób jest więcej i nie są to tylko Polacy. Ostatnio w audycji uczestniczył David Kern z Oldenburga w Niemczech. Warto w tym miejscu dodać, że dla mojej anglojęzycznej publiczności wykonuję w soboty jeden utwór w j. angielskim. Oprócz osób, które już wspomnieliśmy, moim gościem była też Ewa Taylor

Oglądam Twoje audycje i wiem, że dostajesz mnóstwo wyrazów sympatii i uznania, ale także przejawów wdzięczności. Bez wątpienia jesteś jedną z osób, która pozwoliła w tym trudnym czasie pandemii i lockdownu odgonić choć na chwilę czarne myśli. Jak Ty się do tego odnosisz; do tej swego rodzaju misji wpisanej w życie artysty?

Nie traktuję tego jako misji, ale cieszę się, że mogę dawać ludziom radość i odrobinę wytchnienia – szczególnie w tak

trudnym okresie, jaki miał miejsce z powodu pandemii.

To, co się zadziało na FB w trakcie moich audycji, jest ciekawym zjawiskiem socjologicznym. Wirtualnie spotykali się u mnie członkowie rodzin, przyjaciele. Zapoznało się ze sobą sporo nieznajomych osób, które łączy fakt, że „nadają na tych samych falach”. To jest dla mnie niesamowite.

Mam nadzieję, że kiedy ten zły czas wreszcie się skończy, uda nam się wszystkim spotkać w realnym świecie. Może na jakimś recitalu… Już dziś serdecznie wszystkich zapraszam.

A teraz, na zakończenie naszej rozmowy, kilka pytań niemalże technicznych. (*śmiech*) Z pewnością czytelnicy chcieliby się dowiedzieć, na jakim sprzęcie tworzysz muzykę?

Komponuję i nagrywam głównie w domu – mam swoje studio. Pracuję w programie Cubase i używam programowych symulacji różnych instrumentów. Jedynymi prawdziwymi instrumentami są gitary, instrumenty perkusyjne – tzw. przeszkadzajki, melodyka i mój głos.

Czy ktoś Ci pomaga?

Muzycznie: kompozycja, aranżacja, gra na instrumentach i

śpiewa – to „ogarniam” sam (śmiech), ale jeśli chodzi o miksowanie utworów, współpracuje z moim starym kumplem ze Słowacji – Jurajem Fajnorem, który jest bardzo dobry w „decybelach i hercach” i ogólnie cholernie pracowity. Nasza współpraca kwitnie.

Tekstowo: piszę mało, nie czuję się tekściarzem, ale mam wielu przyjaciół – poetów, o których wcześniej rozmawialiśmy, i demoluje im ich wiersze ku obopólnemu zadowoleniu.

Mentalnie: jest ktoś, kto mi bardzo pomaga i mnie wspiera każdego dnia. Tą osobą jest moja żona Violetta, która w miarę możliwości jest na każdym moim koncercie. Pilnuje wszystkiego podczas audycji „Piosenki na koniec tygodnia”. Filmuje i montuje produkcje wideo. Nie gra i nie śpiewa (jedynie pod prysznicem), ale poza tym jest mi bardzo pomocna. Viola jest też zawsze pierwszym krytykiem moich piosenek lub produkcji muzycznych.

Jakieś inspiracje muzyczne?

Jako kompozytorów piosenek zawsze najbardziej ceniłem i cenię Beatlesów. Uwielbiam też muzykę amerykańską, ale tylko tę dobrą.

Twoje aspiracje artystyczne?

Moja facebookowa audycja na żywo „Piosenki na koniec tygodnia” pokazała, że ludzie lubią moje poetyckie country-music. Odwiedza ją od 500 do1000 osób tygodniowo. Życzę sobie takiej widowni, kiedy pandemia się skończy, ale już o tym wcześniej wspominałem. Zatem może powiem tylko, że chciałbym po prostu żyć z muzyki.



Remi Juśkiewicz „Piosenki na koniec tygodnia”

Jeśli mają Państwo ochotę zapoznać się z muzyką tworzoną przez Remiego Juśkiewicza, można zakupić Jego najnowszą płytę *MOŻE POJUTRZE* za pośrednictwem udziału w „zrzutce”: https://zrzutka.pl/znvja3/widget/24

Od Redakcji:

Remi Juśkiewicz gościł już na „Culture Avenue”, wciąż można tu posłuchać jego pięknych, jesiennych piosenek do słów Marii Duszki…..

> Jesień

Źrenice studni badają ruchy gwiazd



Fot. Ryszard Sawicki

Zbigniew Lubicz-Miszewski

Recenzja tomiku wierszy Ryszarda Sawickiego „Drzewa nie szukają utraconych liści", ang. „Trees do not search for lost leaves", translated by Frank Kujawiński, Namysłów 2020, s.107, 10 il, (fotografie autora z Parku Szczytnickiego we Wrocławiu).

> *Po co tu przyszedłem*
>
> *i wstrzymałem kroki?*

> *Szukałem wyjaśnienia*
>
> *przyczyn biegu drogi*
>
> *i znaczenia bram.*

W programowym wierszu „Drzewa nie szukają utraconych liści” Ryszard Sawicki stawia pytanie jaki jest stosunek człowieka do czasu, do przemijania. Człowiek ciągle jest zanurzony albo w przeszłości, albo antycypuje w przyszłość, a nie potrafi żyć tu i teraz, jak drzewa:

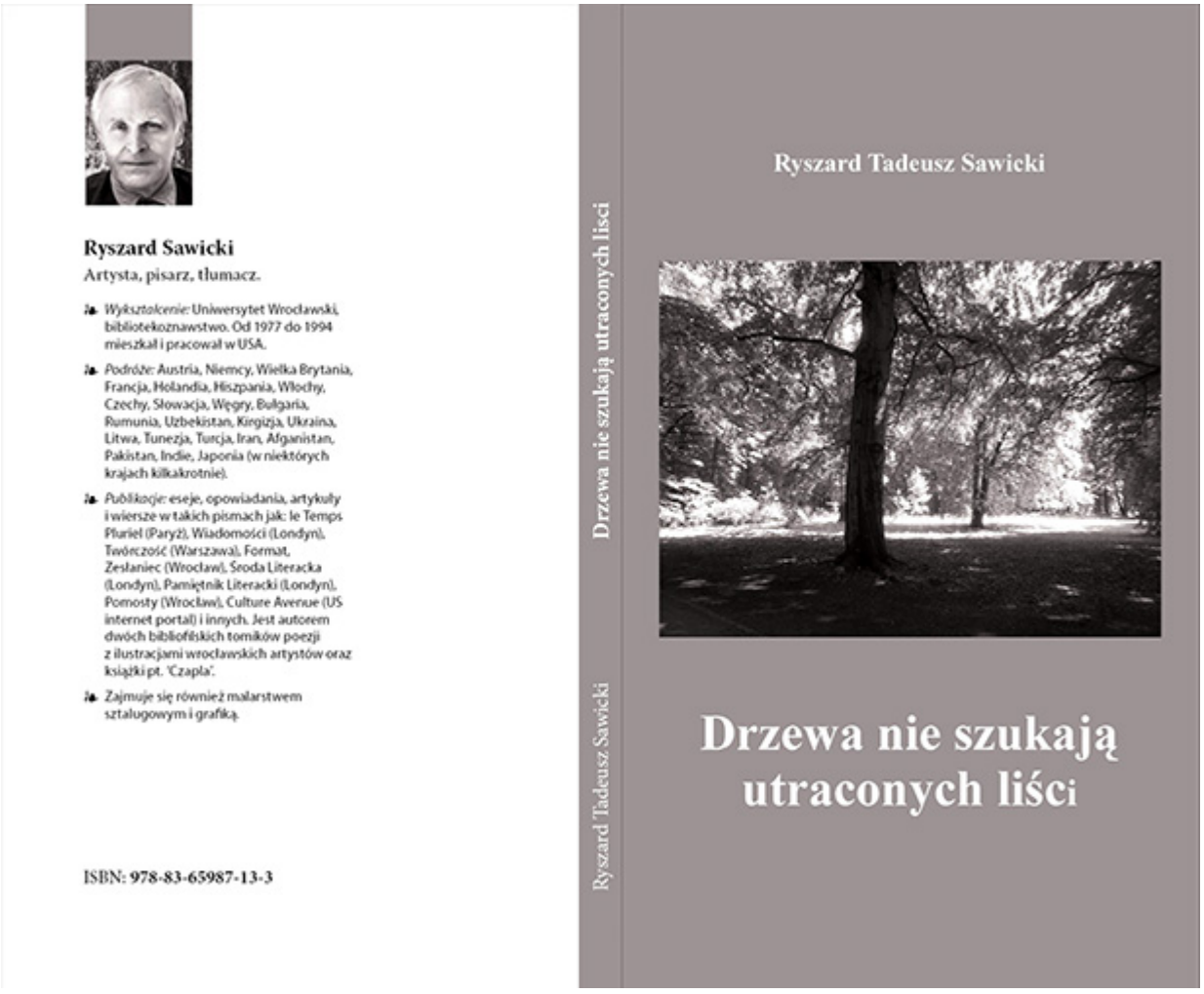
> *Drzewa przechodzą przemiany pór roku tak,*
>
> *jakby nie czekały na żadną z nich.*
>
> *Nawet pewność odzyskania*
>
> *wszystkich odcieni życia*
>
> *nie jest im potrzebna.*
>
> *Oczekiwanie i poszukiwania są im równie obce.*
>
> *A jednak odnajdują się w zieleni co roku.*

Wiele możemy nauczyć się od drzew: pokory, trwania w ciszy, pokoju nie zmąconego galopadą rozbieganych na wszystkie strony myśli, niezachwianej wiary w coroczne wiosenne odrodzenie, kwitnienie i owocowanie, a przede wszystkim poczucia smaku – drzewa ubierają się zawsze stosownie do pory roku. Przytaczając cytat z Ewangelii św. Łukasza można również pochwałę lilii poszerzyć: *Przypatrzcie się drzewom, jak rosną: nie pracują i nie przędą. Nawet Salomon w całym swym przepychu nie był tak ubrany jak jedno z nich*.

Drzewo jest obrazem kosmosu, symbolem życia, symbolem ciągle odradzającej się przyrody, alegorią człowieka, jego przemijania, wartości i marności, a także jest symbolem ostatecznego losu. Corocznie drzewo obumiera na jesieni, a jednak na wiosnę powraca do życia. Dlatego objawia jakąś pozaludzką rzeczywistość.

Zapis poetycki wierszy u Ryszarda Sawickiego jest nietypowy – wyśrodkowanie kolumny powoduje, że odczytujemy wiersz harmonijnie wyważony, w którym symetria dyktuje rozkład sił, wiersz wygląda jak dzieło sztuki, jak rzeźba którą oglądamy z różnych stron. I często w podstawie kompozycji ukryta jest puenta, konkluzja, która odczytujemy z powrotem wędrując od korzeni do korony poetyckiego drzewa. Słowa bardzo oszczędne, czyste i wypolerowane jak diament, frazy odseparowane momentem ciszy, jak w utworze muzycznym budują napięcie

zmierzając do finałowego crescenda.



Ryszard Sawicki

Artysta, pisarz, tłumacz.

- *Wykształcenie:* Uniwersytet Wrocławski, bibliotekoznawstwo. Od 1977 do 1994 mieszkał i pracował w USA.
- *Podróże:* Austria, Niemcy, Wielka Brytania, Francja, Holandia, Hiszpania, Włochy, Czechy, Słowacja, Węgry, Bułgaria, Rumunia, Uzbekistan, Kirgizja, Ukraina, Litwa, Tunezja, Turcja, Iran, Afganistan, Pakistan, Indie, Japonia (w niektórych krajach kilkakrotnie).
- *Publikacje:* eseje, opowiadania, artykuły i wiersze w takich pismach jak: le Temps Pluriel (Paryż), Wiadomości (Londyn), Twórczość (Warszawa), Format, Zesłaniec (Wrocław), Środa Literacka (Londyn), Pamiętnik Literacki (Londyn), Pomosty (Wrocław), Culture Avenue (US internet portal) i innych. Jest autorem dwóch bibliofilskich tomików poezji z ilustracjami wrocławskich artystów oraz książki pt. 'Czapla'.
- Zajmuje się również malarstwem sztalugowym i grafiką.

ISBN: 978-83-65987-13-3

Ryszard Tadeusz Sawicki

Drzewa nie szukają utraconych liści

Drzewa nie szukają utraconych liści

Ryszard Tadeusz Sawicki

W swoich wierszach Ryszard Sawicki wierny jest przesłaniu Zbigniewa Herberta:

> *czuwaj – kiedy światło na górach daje znak – wstań i idź*
>
> *dopóki krew obraca w piersi twoją ciemną gwiazdę*
>
> *powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy*

> *bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz*
>
> *powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem*
>
> *jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku*
>
> *a nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką*
>
> *chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku*
>
> *idź bo tylko tak będziesz przyjęty do grona zimnych czaszek*
>
> *do grona twoich przodków: Gilgamesza Hektora Rolanda*
>
> *obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów*

Droga tych nielicznych, Herosów zaliczonych do grona „zimnych czaszek" wytyczona jest od narodzenia: *Z gliny wypalonej, błękitnym płomieniem, z chmury rozdartej kamiennym ostrzem, z tchnienia pełnego pustynnego żaru.*

Czym jest błysk życia, upływ czasu, klepsydra pór roku? – *Żaru ptakiem, promiennymi skrzydłami, smugą iskier, błyskiem oczu, płomieniem świecy, wodą ognistą, obłokiem gorejącym, czarną gwiazdą rozświetloną w sobie…*

Powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy – Dlatego Sawicki opowiada legendę:

> *Legenda trwa.*
>
> *wynurza się z oddali*
>
> *i przypływa do ręki*
>
> –
>
> *zakotwiczona wzrokiem,*
>
> *zaklęta ustami.*
>
> *(Przywiązanie nie jest tragedią kwiatów lotosu)*

U Sawickiego proces twórczy przebiega odwrotnie niż u większości twórców – nie od „ja” – jako centrum świadomości – do świata zewnętrznego, tylko ze świata (światła) zewnętrznego obrazy i zdarzenia na zasadzie implozji „eksplodują” do „ja” tworząc byt w rodzaju „czarnej dziury” – obszaru czasoprzestrzeni, którego z uwagi na wpływ grawitacji, nic (łącznie ze światłem) nie może opuścić. Zgodnie z ogólną teorią względności, do jej powstania niezbędne jest nagromadzenie

dostatecznie dużej masy w odpowiednio małej objętości. Dlatego materia wierszy jest maksymalnie skondensowana. To skupienie w sobie odgłosów świata, czyli ciszy która potrzebna jest do narodzin słowa (jak obumarłe ziarno), ilustruje ostatni wers wiersza *Pustelnikiem w muszli dzwonu dźwięk skruszony: Dzwon nabiera w ciszy brzmienia*.



Fot. Ryszard Sawicki

Czarną dziurę otacza matematycznie zdefiniowana powierzchnia nazywana horyzontem zdarzeń, która wyznacza granicę bez powrotu. Nazywa się ją „czarną”, ponieważ pochłania całkowicie

światło trafiające w horyzont, nie odbijając niczego. Czarne dziury o masie gwiazdowej formują się w wyniku zapadania grawitacyjnego bardzo masywnych gwiazd pod koniec ich życia. I drzewo jako ikonę bytu zapisuje Sawicki w horyzoncie zdarzeń (*Znam drzewo)*.

Poeta zapisuje odchodzący w niebyt świat w „kościach pamięci”: *Nawet ślepy dojrzy wschodzące nad falami gorejące znaki i wykrzyknie imiona zapomnianych rzeczy. I znów powstaną wyrąbane lasy i uniosą pochodnie nad mroczne sklepienia dni wskrzeszonych z pyłu.*

Co można i trzeba ocalić jeżeli człowiek tak barbarzyńsko eksploatuje ziemię? *Próżno szukać w lasach choć kropli zieleni. Pustynie pochłonęły nawet wielkie rzeki. Staliśmy się wysuszoną trawą, łupem ognia, smugą dymu.*

Jeśli chcemy rozbić mur otaczający nas od świata, musimy z dziecięcą ufnością dosiąść drewnianego konia i uwolnić się *od toczenia kół, od dźwigania ciężaru skamieniałych myśli i ciał, od nawyku chronienia kruchych, szklanych oczu.* Wiersz *Przez szybę do oczu ze szkła; Przez mur do skamieniałych dłoni* wpisuje się w tęsknotę człowieka do lotu, galopu nieskrępowanego żadnymi hamulcami, jaki najpełniej ukazał w swoim wierszu „Otwarte niebo” Jules Superville:

OTWARTE NIEBO

(przekład Zbigniew Bieńkowski)

Miałem niegdyś konia

Na niebieskich błoniach,

Pędziłem naprzeciw

Dnia promienistego.

Droga była równa,

Pędziłem bezwiednie,

To był parostatek,

Bo nie koń był koniem,

To było pragnienie,

Bo nie parostatek,

To był koń z tych koni,

Jakich nie ma dzisiaj.

Głowa była koniem,

Sierść czystym szaleństwem,

To był wiatr, co siebie

Rozprzestrzenia rżeniem.

Pędziłem przed siebie

I dawałem znaki:

I wy także za mną

Pędźcie! Przybywajcie,

Przyjaciele moi.

Droga jest łagodna,

Niebo jest otwarte.

Ale kto to mówi?

> *Na tej wysokości*
>
> *Tracę z oczu siebie.*
>
> *A wy czy mnie widzicie?*
>
> *Czy ja jestem który*
>
> *Mówiłem przed chwilą,*
>
> *Czy ja jestem jeszcze*
>
> *Który mówię teraz,*
>
> *A wy, przyjaciele,*
>
> *Czy jesteście wami?*
>
> *Jedni za drugimi*
>
> *Zmieniali się w biegu.*

U Sawickiego:

> *Strzemion dosięgniesz łatwo*

> –
>
> *nie trzeba nikomu skrzydeł,*
>
> *aby znaleźć się w siodle.*
>
> *Patrz*
>
> –
>
> *bramy zostały za nami,*
>
> *już drzewa mijamy w pędzie.*
>
> *Po kałużach rozlanych szeroko,*
>
> *po rozmiękłej ziemi,*
>
> *po trawie oszronionej*
>
> –
>
> *bez dróg, bez bruku*

W wierszu *Pozory zanikają* od wieków zakłamywane słowa

odzyskują swoje znaczenie i barwę *Mówią znów o królu naprawdę odzianym.*

Ten piękny wiersz bardzo krótki (widzę ten tekst wykuty na płycie marmurowej) może być manifestem poetyckim Sawickiego:

> *Odrywam drogi od stóp,*
>
> *przebiegam rzeki*
>
> *ciężkie od obłoków.*
>
> *Kamienie rzucam wiatrowi,*
>
> *by je roztarł na pył.*
>
> *Spotykam jednak kwiaty,*
>
> *których zapachu nie rozwiewam,*
>
> *drzewa, którym nie poruszam liści.*
>
> *Są jeziora o gładkich powierzchniach*

> *i ognie o nieruchomym płomieniu.*
>
> *Przystaję i patrzę:*
>
> *źrenice studni*
>
> *badają ruchy gwiazd.*

I jeszcze:

> *Pozwoliłem żaglom odlecieć,*
>
> *ster wypuściłem z dłoni.*
>
> *niepotrzebne mi deski okrętu,*
>
> *niech murszeją, niech toną,*
>
> *stóp już nie oprę o nie.*
>
> *Budowniczym rzuciłem monetę,*
>
> *przewodnikom spłaciłem długi;*
>
> *odtąd idę krokiem wolnym, wytrwale,*

> *zanurzam się w mrokach otchłani.*
>
> *Jeśli kiedyś napotkam ląd,*
>
> *którym światło biegnie*
>
> *przystanę.*
>
> *I przejdę.*
>
> *Będę wiedział jak płynąć nad skałą.*

O konieczności i wadze sformułowania i wypowiedzenia prawdy zapisu poetyckiego, wysłowienia własnej bolesnej życiowej prawdy i wierności zasadom etycznym, tak pisze Sawicki:

> *Dopóki językiem*
>
> *nie przetnę granicy*
>
> *zaciśniętych słów,*
>
> *które dławią mimo,*
>
> *że zbutwiały słupy*

> *nie spalonych zaklęć,*
>
> *dopóty skruszone szkło*
>
> *kaleczyć będzie wargi*
>
> *otwarte pragnieniem.*



Fot. Ryszard Sawicki

Przypomina się tu zasada etyczna Immanuela Kanta – „imperatyw kategoryczny”, mówiąca *że należy postępować zawsze wedle takich reguł, co do których chcielibyśmy, aby były one stosowane przez każdego i zawsze.* Tak skomentował tą

zasadę Oskar Negt: *Postępuj zawsze tak, jakby od twojego działania lub jego zaniechania miała zależeć odmiana losów świata. Kto działa na szkodę wspólnoty, szkodzi w ostatecznym rachunku samemu sobie.*

W wierszu *Nie, nie wszystkie konie wróciły do stajni* Sawicki oddaje hołd wszystkim polskim zrywom niepodległościowym:

> *uprzęże i szable zostały ukryte,*
>
> *doszeptano rozkazy urwane w pół słowa*
>
> *w dłonie złożone, przyciśnięte do twarzy.*
>
> *Ciszej, ciszej*
>
> *niech nikt nie wie*
>
> *gdzie rdzewieją klingi,*
>
> *aż przyjdzie czas oczyszczenia…*

Bardzo ostre słowa kieruje do człowieka który tak kocha zwierzęta, zwłaszcza na talerzu…

> *Na próżno szukasz raju*
>
> *wokół siebie.*
>
> *Dzikie zwierzęta nauczyły się żyć*
>
> *bez opieki aniołów*
>
> *i wiedzą, że oswojenie*
>
> *może prowadzić do rzeźni.*

Jakie przesłanie Ryszarda Sawickiego dla nas można odczytać w tym tomiku? Żebyśmy zatrzymali się w tym pędzie życia, nie żyli wpatrzeni ciągle w tarczę zegara, żyli tu i teraz, pełnią czasu, zielenią i śniegiem i słońcem, chwilą bez daty:

> *Przystanęły dni.*
>
> *Zdjęły godziny*
>
> *z ramion zegarów*
>
> *i złożyły na ziemi*

–

nawet minuty

ciążyły już bardzo.

piramidy wieków

budowane latami

zawsze spoczywają.

chcemy odchodzić w sen

jak noce;

chcemy żyć,

jak pory roku

–

zielenią i śniegiem,

chwilą bez daty;

> *tylko słońcem*
>
> –
>
> *nie zegarami.*
>
> *Czasem bez miary.*

Sawicki przypomina nam, że możemy chłonąć we śnie i na jawie świat wszystkimi zmysłami, oddychać pełną piersią, wtulić się Królestwo Przyrody, w którym las nie składa się z drzew anonimowych, bo każde drzewo, każda roślina ma swoje imię i „duszę”, ale musimy najpierw odbudować naszą relację ze światem. Obecnie przechodzimy obojętnie obok świata, rośliny, zwierzęcia, zapominamy ich nazw… Rzeczywistość dla nas straciła sacrum. *Czcząc sakralność osób i rzeczy, czcimy w nich samych siebie. Powiedz mi, kogo i co czcisz, a powiem ci, kim jesteś. Gdy powiesz, że nie czcisz nic, powiem, że jesteś niczym! Bez sakralności człowieka, jako wektora, do którego zdąża świadomość, nie można wytłumaczyć, pojąć zrozumieć świadomości człowieka* – pisał filozof kultury Henryk Skolimowski.

Dużym walorem tomiku jest wierne przetłumaczenie przez Franka Kujawińskiego wierszy na język angielski, otwiera to

możliwość lektury ludziom na całym świecie. Fotografie drzew autorstwa Ryszarda Sawickiego idealnie korespondują z tematyką wierszy.



Ryszard Sawicki

Ryszard Sawicki

Urodzony w Kamiennej Górze, Wrocławianin. W latach 1977-1994 mieszkał i pracował w Stanach Zjednoczonych. Artysta, pisarz, tłumacz, dziennikarz.

Publikacje: eseje, opowiadania, artykuły i wiersze w takich pismach jak: le Temps Pluriel (Paryż), Wiadomości (Londyn), Twórczość (Warszawa), Format (Wrocław), Środa Literacka (Londyn), Pamiętnik Literacki (Londyn), Pomosty (Wrocław),

‘Zesłaniec’ (Wrocław) i in. Wydał dwa bibliofilskie tomiki poezji z ilustracjami kilku polskich artystów-grafików, polsko-angielski tom wierszy pt. ‘Drzewa nie szukają utraconych liści’ (tłum. F. Kujawiński), książkę pt. ‘Czapla’ (2017). Jako dziennikarz, współpracował z polonijnymi czasopismami w Ameryce. Współpracował z redakcją rozgłośni radiowej w Kalifornii (audycje literackie).

Techniki: malarstwo sztalugowe, pastele, akwarele, grafika, heliograwiura. Wystawy: indywidualne i grupowe w Stanach Zjednoczonych, Europie i Azji. Prace w zbiorach: Uniwersytet Toruński (Archiwum Emigracji), Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie, Carmel Art Association (Carmel, CA). Nagrody: złoty i srebrny medal za portrety (IPA, Washington, D.C.: 1986, 1987). Członkostwo: Carmel Art Association (1993-), International Platform Association (1986-1994).

Wymieniony m.in. w: Polish American Who’s Who, Directory of American Portrait Artists, Almanach Sztuki Dolnego Śląska. Artykuły w lokalnej prasie polskiej i zagranicznej anonsowały jego wystawy i odczyty literackie.

Promocja w czasach pandemii



Katarzyna Szrodt na wystawie prac Magdaleny Abakanowicz w Fundacji Rodziny Staraków

Katarzyna Szrodt

(Montreal)

Pod koniec kwietnia 2020 roku, w warszawskim wydawnictwie DiG, wydana została moja książka „Polscy Artyści Plastycy w Kanadzie”, będąca adaptacją doktoratu. W maju miała odbyć się promocja w Muzeum Historycznym na Zamku Królewskim w Sanoku, zaplanowany był wykład na wydziale kanadystyki na Uniwersytecie Jagiellońskim i prezentacja na sesji Polskiej Akademii Nauk w Krakowie. W terminie późniejszym miały odbyć się promocje w konsulatach w Montrealu i Toronto oraz w ambasadzie w Ottawie. W planach były również targi książki i spotkanie na uniwersytecie UMK w Toruniu. Misternie zaplanowana trasa promocyjna legła w gruzach – świat sparaliżował koronawirus. Przestraszeni, zdezorientowani, spacyfikowani w domach, śledziliśmy w mediach rozwijanie się pandemii, poddaliśmy się nowym regułom mającym na celu opanowanie wirusa. Wszyscy musieliśmy zmienić plany i zastygliśmy w oczekiwaniu na powrót do normalności.

Na szczęście istnieje możliwość wspomnienia o publikacji na łamach „Culture Avenue”, magazynu internetowego, który od lat śledzi i docenia twórczość artystów na emigracji.

Blisko pięć lat badań, poszukiwań, podróży złożyło się na tę pozycję pokazującą dorobek polskich artystów plastyków, którzy w latach 1939-1989 wyemigrowali do Kanady. Pięćdziesiąt lat emigracji z Polski talentów: malarzy, rzeźbiarzy, ceramików, tkaczy, architektów, fotografików, twórców sztuki użytkowej,

zmuszonych do wyjazdu z kraju ze względów politycznych lub ekonomicznych. Trzy fale wychodźstwa: fala wojenna, fala PRL-owska, fala solidarnościowa, złożyły się na ponad 260-osobową grupę artystów o dorobku wartym zauważenia i docenienia. Faktem jest, że polscy plastycy na przestrzeni pięćdziesięciu lat wnieśli znaczny wkład w rozwój wszystkich dziedzin sztuki kanadyjskiej, jednak brak jest opracowań ich dokonań w źródłach kanadyjskich, podobnie jak nie ma śladu w polskiej historii sztuki powojennej.

W mojej pracy starałam się przeanalizować, na ile rzeczywistość polityczno-społeczna Kanady pozwoliła rozwinąć się polskim talentom na emigracji, jak ewoluowali artyści i ich twórczość pod wpływem nowych doświadczeń: bodźców kulturowych, oderwania od środowiska i znalezienia się w nowej konfiguracji życiowej. Szukałam odpowiedzi na pytanie czy istnieją jakieś reguły, które pozwalają osiągnąć sukces artystyczny w Kanadzie i co rozumie się pod określeniem „sukces artystyczny”. Podjęłam zasadę „odnotowuję, a nie wartościuję”. Nie poddaję ocenie dorobku naszych plastyków, gdyż celem moim było stworzenie kompendium zawierającego jak najwięcej wiadomości, by przedstawić je jako brakujące ogniwo powojennej historii plastyki polskiej stworzonej poza granicami kraju.

W Kanadzie rola artysty i sztuki rozumiana była od zawsze utylitarnie. Państwo kanadyjskie nigdy nie spełniało roli

mecenasa, zostawiając artystę własnej zaradności i pomysłowości, nie tylko w kwestii tworzenia, ale i zbytu dzieł. Ten swoisty brak wsparcia powodował, że artyści zmuszeni byli siłować się z codziennością i jednocześnie walczyć o ocalenie i rozwój talentu. Dwa konteksty – kanadyjski i polski stanowiły ważne źródła odniesienia dla artysty emigranta.

„Emigracja nie istnieje ani zamiast, ani poza polską całością narodową jako chora jej część. Jest organicznym komponentem całości, koniecznym dopełnieniem, które inaczej modeluje Polaków portret własny" – napisała profesor Alina Witkowska. I tak też należałoby traktować twórczość polskich artystów działających w Kanadzie – jako dopełnienie polskiego dziedzictwa narodowego, które trzeba zbadać i przyswoić. Wierzę, że zebrany przeze mnie materiał dołączy do studiów i publikacji już wydanych, poszerzając pole wiedzy na temat polskiego dziedzictwa kulturowego powstałego poza granicami kraju.



KATARZYNA SZRODT - doktor nauk humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego, członek Polskiego Instytutu Badań nad Sztuką Świata. Od 1992 roku na emigracji w Kanadzie, mieszka w Montrealu. Animatorka kultury polskiej na emigracji. W latach 2005-2010 kuratorka Muzeum Wychodźstwa Polskiego im. Ignacego Jana Paderewskiego w Łazienkach Królewskich. Wieloletnia felietonistka „Biuletynu Polonijnego" i „Culture Avenue- Polska kultura poza krajem". Dla Narodowego Instytutu Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą <POLONIKA> przygotowuje kanadyjską część Słownika Polskich Artystów Plastyków Działających na Obczyźnie w XX wieku.

Książka dr Katarzyny Szrodt, *POLSCY ARTYŚCI PLASTYCY W KANADZIE*, jest bardzo ważnym osiągnięciem naukowym w procesie odzyskiwania dla kultury polskiej XX wieku, dorobku polskich artystów plastyków, tworzących poza Polską po wybuchu drugiej wojny światowej. Swoim opracowaniem Katarzyna Szrodt dołączyła do wąskiego grona polskich badaczy, którzy z dużym wysiłkiem i determinacją od 30 lat prowadzą badania nad polską sztuką na emigracji po 1939 roku, uzupełniając w ten sposób poważną lukę w rozpoznaniu i zwartościowaniu polskiej (a nie jedynie powstałej w granicach powojennego PRL-u) XX-wiecznej polskiej kultury artystycznej i jej wkładu w dziedzictwo kulturowe świata. Na bazie historycznych odniesień do dziejów kształtowania się społeczeństwa kanadyjskiego, autorka przekonuje czytelnika o roli, jaką w kształtowaniu kultury artystycznej Kanady odgrywała i odgrywa polska diaspora, współtworząca obrazu wieloetnicznego społeczeństwa, złożonego z różnych systemów wartości i norm natury społecznej, politycznej, religijnej i kulturowej.

prof. zw. dr hab. Jan Wiktor Sienkiewicz, historyk sztuki
kierownik
Katedry Historii Sztuki XX w. w Europie Środkowej i na Emigracji
Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Członek Rady Narodowego Instytutu Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą <POLONIKA>

ISBN 978-83-286-0078-2
9 788328 600782
WYDAWNICTWO DiG

KATARZYNA SZRODT - POLSCY ARTYŚCI PLASTYCY w KANADZIE

WYDAWNICTWO DiG

KATARZYNA SZRODT



POLSCY ARTYŚCI PLASTYCY w KANADZIE

WYDAWNICTWO DiG

Trzy wspomnienia o Miłoszu



Czesław Miłosz podczas spotkania w Toronto, fot. Marek Śmieja

Florian Śmieja

(Mississauga, Kanada)

Dramatyczny krok Miłosza, by zerwać z PRL-em i pozostać na Zachodzie zbulwersował świat. Podzielił też emigrację polską. Toteż w roku 1957, kiedy grupa młodych pisarzy skupionych wokół miesięcznika „Merkuriusz Polski” w Londynie, zaprosiła poetę do siebie, emigracyjna starszyzna wrogo doń ustosunkowana, oczekiwała jego przyjazdu jedynie w postaci petenta do Canossy. Lecz my, bardziej tolerancyjni czy naiwni, a przede wszystkim, bez osobistych porachunków, chcieliśmy go przywitać na wieczorze autorskim, a korzystając z dostępnego

nam na imprezy kulturalne gmachu Instytutu gen. Władysława Sikorskiego, urządziliśmy wieczór w efektownej Sali Sztandarowej z przechowywaną tam flagą, która powiewała nad klasztorem na Monte Cassino i spoczywającym w gablotce mundurem Władysława Sikorskiego.

To wystawne przyjęcie nie spodobało się krytykom Miłosza z Zygmuntem Nowakowskim na czele. Swoje wielkie niezadowolenie wnet wyraził w felietonie w „Dzienniku Polskim”*(przyp. 1)* wołając by ten lokal, w którym wystąpił gość, wykadzić. Zaprotestowaliśmy jako organizatorzy spotkania i wzięliśmy w obronę naszego gościa. Będąc redaktorem naczelnym „Merkuriusza Polskiego” napisałem list do gazety, by napiętnować „niewybredną napaść na osobę prelegenta”. Ciągnąłem dalej:

> Uważamy, że pan Zygmunt Nowakowski nie ma prawa rozstrzygać, czy Miłosz jest osobą do przyjęcia przez emigrację, tak jak nie ma podstaw do piętnowania go. Ośrodki kulturalne służą całej społeczności polskiej i źle by się stało, gdyby miały się one kierować listą proskrypcyjną. Dlatego jesteśmy pełni uznania dla kierownictwa Instytutu gen. Sikorskiego stosującego kryteria zachodnioeuropejskie… Dylemat młodego Polaka na emigracji zwięźle ilustruje dwuwiersz Miłosza:

> „Przed sobą widział gładką ścianę Wschodu,
> Za sobą mury polskie Ciemnogrodu” *(przyp 2).*
>
> Najnowsze wystąpienie p. Nowakowskiego utwierdza nas w przekonaniu, że jest on jednym z filarów tego ostatniego *(przyp.3).*

Tę swoją wypowiedź, choć utrzymaną w wątpliwym tonie, „Dziennik Polski”, którego Zygmunt Nowakowski był współdyrektorem, zamieścił 14 października 1957 roku. Oprócz tego w naszym miesięczniku napisaliśmy o Nowakowskim:

> Odmawiamy mu prawa do wyrokowania, czy zaproszony przez nas wybitny poeta polski Czesław Miłosz mógł przemawiać „pod sztandarami” w Instytucie im. gen Sikorskiego. Odmawiamy mu prawa do nazywania Stefana Kisielewskiego i Jerzego Zawieyskiego „wysłannikami reżymu” *(przyp.4)*.

Dodam, że w owym czasie Zygmunt Nowakowski nie był bynajmniej jedynym pisarzem, który takich dosadnych określeń niefrasobliwie używał.

Miłosz nie zraził się dezaprobatą „nieprzejednanych” emigrantów. Siedem lat później, 26 czerwca 1963, w tej samej Sali Sztandarowej Instytutu im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie pojawił się ponownie pod naszą egidą. Zaprosiłem go już jako profesora dostojnego uniwersytetu kalifornijskiego w Berkeley, tym razem jako redaktor naczelny miesięcznika o zmienionym tytule „Kontynenty” *(przyp. 5).* To na tym spotkaniu Miłosz m.in. odczytał „Pozycje”. Tekst był wydrukowany następnie w „Kontynentach” we wrześniu 1963 *(przyp. 6)*, a niektóre tezy nas frapowały. Gość powiedział nam m.in.

> Pisanie i publikowanie poza krajem własnego języka nie jest żadnym odrębnym problemem, skoro się zważy, że trudność porozumienia upowszechnia się i staje się czymś niemal normalnym.

A także:

> Szczegół kraju, w którym się mieszka, obłok, twarz, muszla na plaży, powinien wystarczać do rozgrywania własnej, zasadniczej stawki *(przyp. 7).*

Przywitałem wtedy admirowanego gościa słowami, które się dziwnym trafem zachowały na pożółkłej kartce, a które z uwagi na autentyczność przytoczę.

> Z szeregu wieczorów autorskich, które urządziliśmy w tej sali, zapamiętałem poprzedni wieczór naszego gościa, jakieś sześć czy siedem lat temu. Byliśmy dumni, że mogliśmy go przedstawić po raz pierwszy londyńskim miłośnikom poezji. Podobne uczucia nurtują mnie i dziś, kiedy znowu mamy zaszczyt powitać poetę w naszych progach.
>
> Nie muszę podkreślać chyba rzeczy oczywistej, że Czesław Miłosz od dawna jest z nami w kontakcie. Dzisiejszy wieczór potwierdza jego przychylność, jak świadczyła o niej wypowiedź drukowana w naszym piśmie kilka miesięcy temu, w której nie szczędzi nam zresztą uwag krytycznych *(przyp. 8).* Poeta dał dowód zainteresowania naszymi poczynaniami. Pomawiał nas wprawdzie o to, że tytuł pisma przywłaszczyliśmy sobie bezprawnie z jego książki. Ale to jest jego prywatna wersja. Naszym zdaniem, to on właśnie nazwał jedną z książek na cześć świetnego pisma — a taki epitet wyczytałem właśnie w „Dzienniku Polskim", naszej londyńskiej wyroczni — na cześć „Kontynentów". To że Miłosz uczynił to o rok wcześniej od ukazania się pierwszego numeru naszego miesięcznika, świadczy o jego znakomitej

intuicji poetyckiej. W jego korespondencji wreszcie znajdujemy ślady żywego śledzenia tego wszystkiego, co się w naszym środowisku dzieje.

Jesteśmy mu za to wdzięczni, rzecz jasna, a od siebie możemy go zapewnić o wysokim uznaniu dla jego pisarstwa. Niedawno Gość nasz ukończył pięćdziesiąt lat i mówiący te słowa przemyśliwał o stosownym uczczeniu tego jubileuszu. Niestety, skończyło się na słowiańskim dumaniu… A Miłosz, zaiste, zasługuje z wszech miar na uczczenie. Złożylibyśmy w ten sposób hołd człowiekowi o naprawdę imponującym dokonaniu. Przypomnijmy sobie jego dorobek.

Tyle się mówi — i zapewne nie bez racji — o ciężkiej doli emigracyjnego pisarza. O ile sytuacja materialna przedstawia się źle, o wiele smutniejsza jest sytuacja psychiczna. Otaczają nas milczące pióra. Stare talenty jakby wygasły. Obiecujący pisarze dają nam najczęściej utwory marginesowe. Na tle tych długich siedmiu lat chudych, Miłosz rysuje się odrębnie. Zadaje kłam tezie, jakoby poza granicami Polski nie można było tworzyć intensywnie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Czesław Miłosz wydał dziewięć tomów poezji i prozy oraz pięć tomów przekładów i opracowań. Są to pozycje poważne, niektóre przełożono na wiele języków. Jeżeli dodać do powyższej listy eseje i przekłady na język polski a także na język angielski,

otrzymamy imponujący obraz dokonania.

Krytycy, a także wprowadzający, jak ja dzisiaj, niepoprawnie sięgają po jakiś cytat, jakąś myśl, która jakby „in nuce” charakteryzuje osobę, o której mówią, która ukazuje jej poetycką sylwetkę. Jest to proceder nieco ryzykowny lecz wielce pomocny i zrozumiały. Kiedy wertowałem najnowszy tom wierszy naszego dzisiejszego Gościa „Król Popiel” *(przyp. 9)* z 1962 roku, znalazłem w nim na ostatku poemat o Ameryce, bliżej, o Kalifornii. Poemat zresztą na wskroś przeszyty krajobrazem polskim, wsią litewską, utwór miły mojemu sercu za reminiscencje historyczne, za ślady odysei Alvara Nuñeza Cabeza de Vaca i heroicznie sprawnego w rzeczach świeckich franciszkanina ojca Junipery Serra, któremu Kalifornia zawdzięcza tyle pięknych nazw miejscowości jak: Los Angeles, San Francisco, Santa Barbara czy San Juan.

W tym to poemacie znajduje się czterowiersz, który kojarzy w moim umyśle dwa wydawać by się mogło, wrogie obozy, dwa krańcowo różne źródła natchnienia poetyckiego. Poeta dostrzega piękno obu światów i przy dokładniejszym spojrzeniu piękno to jest wcale podobne. Piękno świata, o którym współcześni wolą mówić z przekąsem i udałość nowego, tak nieludzkiego dla tradycjonalistów. W tym fragmencie widzimy nie tylko możliwości nowej poezji, jest

> on, wydaje mi się, charakterystyczny dla poezji Miłosza, tej arki przymierza, by posłużyć się utartym określeniem, pomiędzy żywotnymi elementami poezji przedwojennej a odkrywczymi cechami liryki współczesnej. Można by już cytat poprzedzić wersami początku członu dziesiątego:
>
> „Nad jego grobem Mozarta zagrali
> Bo nic nie mieli co by ich dzielił
> Od żółtej gliny, chmur, nadgniłych dalii
> A pod za dużym niebem za cicho im było.”
>
> Nieco dalej następuje czterowiersz, o który mi chodzi:
>
> „Brzmiał Mozart, z pudru peruk odwinięty,
> I babim latem unosił się długo,
> Niknąc nad głową, w tej pustce którędy
> Szedł odrzutowiec z cienką białą smugą.” *(przyp.10)*

Kilka tygodni po spotkaniu, w liście z podparyskiej miejscowości Montgeron datowanym 9 lipca 1963 roku Miłosz napisał m.in. „Chcę podziękować gorąco za miłe przyjęcie w Londynie i za Pana wstęp do mojego wieczoru autorskiego traktujący mnie niemal jak jubilata”… Myślę, że od tamtego czasu Poeta miał bardzo wiele okazji, by się do takiego traktowania przyzwyczaić.

W Kanadzie na jesieni 1980 roku zorganizowano naukową dyskusję na temat polskości pojmowanej w Ameryce Północnej tj. w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie *(przyp 11)*. Zaproszono do niej również Miłosza. Z euforią organizatorzy stwierdzili, że Toronto wydało się Miłoszowi atrakcyjne i chętnie przyjął zaproszenie. A tu nagle gruchnęła na cały świat wiadomość, że w tym roku Nagroda Nobla z literatury przypadła mieszkającemu w Stanach Zjednoczonych imigrantowi z Polski, Czesławowi Miłoszowi. Wtajemniczeni członkowie panelu, w skład których wchodził Bogdan Czaykowski z Uniwersytetu Brytyjskiej Kolumbii i ja, z University of Western Ontario w London, przyklasnęliśmy sensacyjnej wiadomości. Ale jednocześnie pojawiły się obawy i wątpliwości, czy w nowej sytuacji zaproszony do nas poeta się zjawi na dyskusji zorganizowanej przez mało znaną organizację w Toronto. A jednak Miłosz zdecydował się przylecieć, bo oprócz wystąpienia pod polską egidą, miał zaproszenie kanadyjskie do wystąpienia w ramach odczytów na Harbour Front. Od 1974 roku organizacja Autorzy w Centrum na Harbourfront odgrywa ważną rolę w kulturalnym życiu Kanady starając się pokazać Kanadyjczykom najciekawszych na świecie powieściopisarzy, eseistów i poetów.

W dyskusji o polskości wnet wyłonił się mizerny obraz amerykańskiej Polonii, zasiedziałej wprawdzie i licznej, ale

kulturalnie wydziedziczonej, w pewnym sensie bezdomnej. Mało znającej i nieświadomej swego dziedzictwa i dlatego upośledzonej. Ta mała świadomość powoduje brak dumy z pochodzenia i kompleks niższości, w końcu zasklepianie się, ucieczkę w rodzinne i parafialne obchody i tradycje, kontentowanie się prymitywnymi tańcami i ludową muzyką, co odstręcza młodych ludzi.

Miłosz nieswojo się poczuł w takiej atmosferze, wychowany w wyższej kulturze Polski i obracający się w Stanach Zjednoczonych w kręgach akademickich. Aczkolwiek zapewniał, że nie chodzi mu o deprecjonowanie wartości obecnych tak samo u ludzi mniej wykształconych, ale o zasadnicze trudności z pokonaniem dystansu między nimi. Jak może pomóc? Jak sprawi, by go rozumiano, rozumiano jego poezję i pisarstwo? Może okazał się praktyczniejszy pisząc historię literatury, bo dał ludziom poznać wartości ich dziedzictwa?

Uznał więc wraz z innymi naglącą potrzebę, by feralne milczenie polskiej diaspory, tragiczne doświadczenie pokoleń na emigracji artystycznie wyrazić, wyartykułować, uwydatnić niewiarygodny świat cierpienia i ofiarności. Zerwać z dotychczasowym milczeniem. Nie tylko tłumaczyć, że znaleźli oni ucieczkę i pociechę w drobnych familijnych nawykach i przywiązaniach.



Czesław Miłosz (w środku) wraz z Florianem Śmieją i Zofią Poniatowską-Śmieja, fot. Marek Śmieja

Następnego dnia w Trinity College czytał nam przekłady Pisma św. na język polski. Była też okazja do zrobienia pamiątkowych fotografii. Skorzystał z tego mój syn, Marek, któremu udało się zrobić kilka zdjęć poety a także sfotografować moją żonę i mnie z Miłoszem. (Ta fotografia narobiła dużo wesołości później w Polsce. Moja bratanica chodziła do szkoły powszechnej w podmiejskim Zabrzu. Na lekcjach polskiego nauczycielka z wielkim przejęciem opowiadała o znakomitym poecie Miłoszu. Widząc jakieś rozluźnienie zachowania mojej bratanicy spytała ją, czy dobrze zapamiętała nazwisko wielkiego poety? Na to ona odpowiedziała, że owszem i że jej stryj ma z nim fotografię.

Pysznie niosła zdumionej nauczycielce następnego dnia fotografię z Toronto).

Na Harbourfront liczne audytorium kanadyjskie entuzjastycznie witało nie tylko wybornego poetę i pisarza, ale także świeżo upieczonego Noblistę.

ARCHIWUM EMIGRACJI
Studia – Szkice – Dokumenty
Toruń, Rok 2011, Zeszyt 1–2 (14–15)

Przypisy: [Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji „Archiwum Emigracji”]

1. Z. Nowakowski, Miłosz pod sztandarami, Dziennik Polski 3.10.1957, s. 2.
2. Cz. Miłosz, Na śmierć Tadeusza Borowskiego z tomu Światło dzienne (Paryż 1953).
3. F. Śmieja, Głos organizatorów wieczoru w Instytucie, Dziennik Polski, 14.10.1957, s. 2.
4. Merkuriusz Polski – Życie Akademickie, 1957 nr 10/11(90/91), s. 22.
5. Pierwszy numer „Kontynentów” ukazał się w styczniu 1959 r.
6. Cz. Miłosz, Pozycje, Kontynenty 1963 nr 57, s. 1.
7. Tamże.
8. Cz. Miłosz, Kilka żądań, Kontynenty 1962 nr 45, s. 1–3.

9. Cz. Miłosz, Po ziemi naszej, [w:] tegoż, Król Popiel i inne wiersze, Paryż 1962.
10. Tamże, s. 52.

11. Międzynarodowa konferencja naukowa na temat „Polacy w Północnej Ameryce" odbyła się w dniach 23–25 października 1980 r. na University of Toronto; zob.: Kronika kanadyjska, Kultura 1980 nr 11(389), s. 139.

Magazyn „Culture Avenue" powstał dla prof. Floriana Śmieji z Kanady. Profesor, wybitny tłumacz i iberysta, doktor honoris causa Uniwersytetu we Wrocławiu, nagrodzony Krzyżem Komandorskim Orderu Izabeli Katolickiej przez króla Hiszpanii Filipa VI, a także pisarz i nestor poetów emigracyjnych – był moim mentorem, redaktorem i przyjacielem. Rok temu, 4 września odszedł, nie powstaną więc już ciekawe teksty o pisarzach i kulturze polskiej na emigracji. Wtorki były dniem profesora, wtedy ukazywały się jego artykuły, lub wiersze. Napisał kiedyś wiersz:

CO NA PORTALU?
Ciekawi mnie, co dziś na komputerze
znajdę, bo wtorek jest zazwyczaj moim
dniem na portalu od kilku sezonów.

Dzisiaj jest Rawicz, polski ojciec fake news
który przed laty nabrał czytelników
całego świata jeszcze przed Donaldem
dołączył do bajarzy orientalnych
autorów tysiąca i jednej nocy.
Plótł banialuki, ale demaskował.

Dla artykułu „Trzy wspomnienia o Miłoszu”, opublikowanym przez „Archiwum Emigracji” w 2011 r., uzyskał zgodę na przedruk, jeszcze za swojego życia. Tak więc kochany Panie Profesorze, dziś znów jest wtorek i nic sie nie zmienilo, jak zwykle Pana dzień.

Dla przypomnienia, profesor sam o sobie podczas laudacji z okazji wręczenia doktoratu honoris causa w 2015 r:

> Ze Śląska w świat literatury i nauki. Prof. Florian Śmieja (1925-2019) o sobie.

Tina Popko – artystka wielu talentów (2)



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

rozmawia Łukasz Przelaskowski (Holandia)

Łukasz Przelaskowski: Kochasz poezję i piszesz piękne wiersze, ujmujące i pełne romantyzmu, głównie erotyki, genialnie budujesz formę erotycznego uniesienia, które

trzyma w napięciu, aż do końca przyprawiając o szybsze bicie serca. Czy te wiersze są o Tobie?

Tina Popko: W wierszach mówi podmiot liryczny, a nie ja, więc nie należy zakładać, że są o mnie. Oczywiście często czerpię natchnienie z życia, marzeń lub kieruję słowa do konkretnej osoby, nieraz wyidealizowanej w utworze, lecz wiele rzeczy może (nie musi) być ubarwionych. Zdarza się też, że z czasem dedykuję komuś wiersz napisany wcześniej. Trzeba jednak pamiętać, iż treść może nie mieć nic wspólnego ze mną, moim życiem, czy upodobaniami.

Czy masz w tej całej pogoni artystycznej czas na miłość, przyjaźń?

Miłość i przyjaźń są dla mnie bardzo ważne. Mam przyjaciół, z którymi znam się od wielu lat. Staram się pielęgnować te relacje, traktuję ich jak rodzinę. Większość z tych osób jest daleko, ale to nie przeszkadza w kontakcie. Nawet zapracowana osoba, której zależy na znajomości, znajdzie czas dla bliskich.

Czy tak utalentowana i piękna kobieta, a zarazem samotna, mogłaby zdradzić coś ze swojej prywatnej sfery uczuć? Jak można zdobyć serce tak wyjątkowej osoby jak Ty? Czy mogłabyś opisać Twój typ mężczyzny pod względem zarówno osobowości, jak i aparycji?

Obecnie skupiam się na swoim rozwoju, co nie znaczy, że nie miałabym czasu na miłość, ale wierzę, że sama przyjdzie, więc nie szukam na siłę. Ważne jest, abym była przede wszystkim szczęśliwa sama ze sobą i tak jest. Jeżeli chodzi o osobowość, to mężczyzna powinien być inteligentny, zaradny, romantyczny, empatyczny, opiekuńczy, spontaniczny i choć trochę szalony. Nie musi być artystą, ale powinien podziwiać i cenić sztukę. Ważne jest, by umiał okazywać i pielęgnować uczucie, miał jakąś pasję, poczucie humoru, lubił i umiał słuchać, doceniał mnie i oczywiście świata poza mną nie widział (śmiech). No cóż… chcę być tą jedyną, miłością czyjegoś życia – i z wzajemnością. Aparycja ma drugorzędne znaczenie, ale skoro już pytasz, to dobrze, gdyby mężczyzna był wysoki i wysportowany.



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

Obecnie zamieszczasz twórczość poetycką na swojej stronie na Facebooku, a także stronie internetowej. Masz jakieś większe plany związane z Twoimi wierszami?

Oczywiście. Planuję je wydać, a także nagrać w formie poezji śpiewanej.

Jakich poetów oraz wykonawców poezji śpiewanej lubisz?

Moim ulubionym wykonawcą poezji śpiewanej jest śp. Marek Grechuta. Z poetów lubię m.in. Leśmiana, Balińskiego, Cummings'a, Baudelaire'a, Szymborską, Poświatowską, Przerwę

– Tetmajera, Asnyka, Borowskiego, Staffa, Wierzyńskiego, Mickiewicza, Tuwima, Langego.

Jaka jest Twoja ulubiona książka?

„Rozmowy z Bogiem” Walsch’a. Uważam, że każdy powinien przeczytać tę książkę i żyć zgodnie z prawdami w niej zawartymi, a będzie spokojny i szczęśliwy. Faktem jest, iż mamy ogromny wpływ na swoje życie. To my decydujemy, kim jesteśmy i mamy prawo do wielu wyborów. Możemy osiągnąć wszystko – wystarczy być tego świadomym, pracować nad swoimi myślami, które są energią i przemieniają się w materię, czyli zdarzenia. To jest siła przyciągania. Są dwa źródła wszystkich uczuć – miłość i strach. Należy całkowicie porzucić to drugie. Problemy i cierpienie to… iluzja. Jesteśmy na tym świecie po to, aby na własne życzenie doświadczać, poznawać dobro przez istnienie zła i przypomnieć sobie, że jesteśmy boską cząstką. Tyle w skrócie.



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

Jesteś człowiekiem renesansu. Masz wiele pasji i zainteresowań, związanych nie tylko ze sztuką, ale także z ezoteryką, magią, astrologią, parapsychologią, reinkarnacją, religiami, sztukami walki, sportem, filozofią itd. Jakie wartości urzekają Cię w filozofii?

Wiele tematów mnie fascynuje, np. filozofia słowa i fakt, iż idea wszystkich rzeczy tkwi w ich nazwie, czyli w słowie. Inną kwestią, którą poruszę, jest to, że każdy wybiera jeden z dwóch

głównych sposobów egzystencji – oparty na posiadaniu lub byciu. Jestem przedstawicielką tego drugiego sposobu i uważam, iż może dać on więcej szczęścia, a odczuwanie tego zależy od jednostki, a więc jest subiektywne (ludzie nie są sobie równi, istnieją nadludzie, jak twierdził F. Nietzsche). Pochłaniające są też rozważania nad tematem miłości, np. jej stadia według S. Kierkegaarda. Osobiście, uznaję to uczucie za najwyższą wartość, najpiękniejsze ludzkie doznanie i sens życia. Według mnie, prawdziwa miłość jest jedyna, nieskończona i niełatwa do znalezienia w dzisiejszym świecie pełnym wątpliwych „wartości". Według Lacana chodzi w niej o przekroczenie narcyzmu i próbę dotknięcia „bytu drugiego". Moje życie wewnętrzne jest bogate, uznaję więc, że istnienie konkretnych jednostek może być wartościowe i magiczne, jednak życie człowieka, a jego wartość w odbiorze ogółu to dwie odmienne kwestie. Nie uniknę też rozmyślań na temat mizantropii, sensu wszystkiego, poglądów Schopenhauera i wielu innych.

Tina Popko w programie telewizyjnym „Must be the music"





Wystąpiłaś w programach takich jak „Must be the music” i „Szansa na Sukces”. Wykonałaś tam fenomenalnie „Think” A. Franklin oraz „A gdyby tak” zespołu Vox. Publiczność

szalała, klaskała i wiwatowała na stojąco, jury zaniemówiło. Czy przyniosły one Tobie promocję, a z nią ciekawe propozycje współpracy? Jak sama podchodzisz do takich programów i występów?

Nie wszystkie tego rodzaju programy dopuszczają w swoim regulaminie zawodowych, profesjonalnych wokalistów, ale dobrze, że chociaż dają im szansę pokazania się, jeśli nie zwycięstwa. Stwierdziłam więc, że warto jest wystąpić, co potwierdziło się w dużej ilości otrzymanych wiadomości z gratulacjami i propozycjami współpracy. Większość takich ofert wiąże się z wyłącznością na długi okres, więc daję sobie czas na decyzję i być może na lepsze propozycje, zwłaszcza, że jeszcze napływają. Tak więc, zachęcam do kontaktu, jestem otwarta na ciekawe oferty współpracy.

Jak odnajdujesz się w czasie pandemii jako artystka?

Czas pandemii to dobry okres na dokończenie rzeczy, które były odkładane na później, na pisanie wierszy i tekstów piosenek, komponowanie, naukę nowych utworów, uaktualnienie portfolio i demo, próby wokalne, aktorskie oraz taneczne. Miałam też nagrania do kilku seriali.



Tina Popko, fot. Marcin Chyła

Na Twojej stronie można przeczytać m.in. recenzję wybitnej Pani choreograf Grażyny Mulczyk – Skarżyńskiej o Tobie jako świetnej modelce, wyróżniającej się m.in. estetyką i harmonią ruchu, pięknym poruszaniem i elegancją. Czym jest dla Ciebie modeling i fotomodeling?

Moda to jedna z moich pasji, a moje motto to: „zawsze ubieraj się tak jakbyś miał spotkać swojego najgorszego wroga”. Sesje zdjęciowe uwielbiam odkąd byłam nastolatką, wtedy też wyszłam

po raz pierwszy na wybieg, to wspaniałe uczucie. Dobra modelka powinna być pewna siebie, charakterystyczna, kreatywna, mieć swój styl i talent aktorski, by umieć wyrazić emocje. Jestem indywidualistką, a moda pomaga to podkreślić. Lubię fotografię oraz pracę jako modelka i fotomodelka, traktuję to jak sztukę. Podobnie jak na scenie – jestem wtedy w swoim żywiole, sprawia mi to frajdę, daje dużo pozytywnej energii i przenosi w ten inny, magiczny świat, oderwany od rzeczywistości, czyli mój świat (uśmiech).

Jakie masz zawodowe i prywatne marzenia oraz plany?

Chcę zawsze być szczęśliwa, mieć z kim dzielić się tym szczęściem i nadal móc robić to, co kocham, czyli grać, śpiewać, tańczyć, rozwijać pozostałe pasje, np. rysowanie, malowanie. Do tej pory często zmieniałam miejsca zamieszkania i grałam gościnnie w teatrach, a teraz jestem już gotowa pracować na etacie i osiąść w jednym miejscu. W przyszłości chcę mieć dom i konia, o którym marzę od dziecka.



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

Jedną z największych Twoich miłości są konie. Masz doświadczenie jeździeckie? Za co tak kochasz konie?

Pierwsza lekcja jazdy odbyła się jak miałam 9 lat i już wtedy pokochałam konie. Mam spore doświadczenie, skaczę przez przeszkody, uwielbiam jazdę w terenie. Dziadkowie mieli konia pociągowego, na którym jako pierwsza jeździłam. Kocham te zwierzęta za wszystko, są niezwykle mądre, uwielbiam spędzać z nimi czas, nie tylko na jeździe. Są przyjaciółmi człowieka i najpiękniejszymi stworzeniami na świecie. Można być z nimi naprawdę blisko. Dawałam nawet koniowi jedzenie z ust, to było cudowne uczucie, miałam ciarki na całym ciele. Pamiętam

wszystkie konie, które kochałam, są nadal w moim sercu i śnią mi się nawet po latach. Kolekcjonuję figurki, plakaty, znaczki i inne rzeczy związane z końmi.

Praca w Twoim zawodzie wymaga ogromu pozytywnej energii i wysiłku, skąd ją bierzesz i jak rozładowujesz stres?

Gdy robię to, co kocham, zawsze jestem pełna energii. Dodatkowo czerpię ją ze słuchania muzyki, tańca, sportów, spotkań z przyjaciółmi, podróży, jazdy rowerem, autem lub motorem. Planuję skok ze spadochronem, rozważam także powrót na Aikido jeśli wystarczy mi czasu. Lubię też chodzić po górach, spędzać czas w lesie i nad wodą.

Co poleciłabyś kolejnym młodym pokoleniom osób zainteresowanych pracą aktorów, wokalistów, tancerzy, muzyków czy modeli? Jak pracować nad sobą, a czego się wystrzegać?

Aby osiągnąć sukces, trzeba ciężko pracować, być w pełni zaangażowanym, zmobilizowanym, stawiać sobie jasne cele, nigdy się nie poddawać, nie przejmować się niepowodzeniami, nie porównywać z innymi, zainwestować czas i energię w swoje wykształcenie oraz skupiać się na własnym rozwoju.

Dziękuję za rozmowę i życzę kolejnych sukcesów, a także pomyślnej realizacji wszystkich marzeń, planów i projektów.

Dziękuję również.



Wiawiad, cześć 1:

> Tina Popko – artystka wielu talentów (1)

Linki:

Strona Internetowa: http://www.tinapopko.com.pl/

Nowa strona: http://tinapopko.pl/

Facebook: https://www.facebook.com/Tina-Popko-actress-singer-model-103102661290658

Kanał YouTube: https://www.youtube.com/channel/UC_aFPggDoqWppYNJvcaw2yQ

Instagram: https://www.instagram.com/tina.popko/

Tina Popko – artystka wielu talentów (1)



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

rozmawia Łukasz Przelaskowski (Holandia)

Łukasz Przelaskowski: **Masz piękne imię, możesz coś o nim powiedzieć, a także o swoim pochodzeniu?**

Tina Popko: „Tina” to imię staroangielskie, oznaczające rzekę. Dostałam je na cześć Tiny Turner, która naprawdę nazywa się Anna Mae Bullock. Moja mama jest jej fanką, miała okazję być na jej koncercie. Zdarzało się, że pytano mnie, czy moje imię i nazwisko to pseudonim artystyczny, ale – w przeciwieństwie do mojej imienniczki – nie musiałam sobie takiego wymyślać, bo już jest krótko i scenicznie. Cieszę się, że mam imię po takiej gwieździe, która jest nie tylko świetną wokalistką i jako jedna z niewielu ma charakterystyczny i bez wątpienia rozpoznawalny głos, ale też jest dobrym, wrażliwym człowiekiem. Tina Turner to przykład wyjątkowej gwiazdy, która osiągnęła karierę zasłużenie i dzięki swemu talentowi. Wiele przeszła w życiu, jest silna psychicznie, więc pozostała sobą. Sława nigdy nie wpłynęła na nią negatywnie, nie musiała też wywoływać żadnych skandali, zawsze miała klasę.

To tyle o moim imieniu i imienniczce, a pochodzenie mam rosyjskie po mamie i polskie po tacie. Jestem z artystycznej rodziny, mama pięknie maluje, była prezenterką telewizyjną i dziennikarką, tata gra na gitarze i od najmłodszych lat

zapoznawał mnie z muzyką, siostra jest wybitną flecistką. Babcia Tamara pięknie śpiewała i grała na akordeonie, mam po niej imię z bierzmowania. Nasza rodzina ma też dokumenty potwierdzające, że jesteśmy w pierwszej linii potomkami dynastii Rurykowiczów związanej z początkami Rosji oraz z samym Iwanem IV Groźnym – dlatego lepiej ze mną nie zadzierać (śmiech).

Jesteś bardzo utalentowana. Posiadasz szeroki wachlarz zawodów, które reprezentujesz z prawdziwie godnym profesjonalizmem. Czy zawsze, a więc już od dziecka interesowałaś się nimi wszystkimi? Może było inne zamiłowanie, zainteresowanie?

Śpiewać zaczęłam chyba szybciej niż mówić (śmiech). Pierwsze nagranie mojego głosu jest zachowane na kasecie, miałam wtedy dwa latka i śpiewałam piosenkę „Ole Ole Janko". Od najmłodszych lat słuchałam muzyki, tańczyłam, bawiłam się w robienie teledysków i zostało mi to do dziś. Jako dziecko lubiłam też przebierać się, odgrywać różne role, robić dla rodziców teatrzyk kukiełkowy i pokazy mody. Uwielbiałam też rysować, głównie konie i księżniczki w pięknych sukniach, tak więc od dziecka miałam zamiłowania artystyczne.

Uczyłaś się w Szkole Muzycznej w Koszalinie. Ty, rodzice, a może inne wydarzenie zadecydowało o podjętej tam

nauce?

Moja starsza siostra grała początkowo na skrzypcach, a ja chodziłam czasem na jej lekcje do sali, gdzie było również pianino i właśnie ten instrument wzbudził moje zainteresowanie, zafascynował mnie. Oczywiste było, że ja również pójdę do szkoły muzycznej. Rodzice proponowali mi skrzypce, ale uparłam się i dopięłam swego.

Tina Popko, fot. Marcin Chyła

- 



Klasa fortepianu, najtrudniejszy do opanowania instrument. Co myślałaś o nim wtedy, podczas pierwszych zajęć, a co czujesz do niego dzisiaj?

Jak już wspomniałam, ten instrument oczarował mnie od pierwszego wejrzenia i… usłyszenia. Jego szeroka klawiatura, barwy niskich i wysokich dźwięków, tajemnicze brzmienia czarnych klawiszy – coś niesamowitego. Dobrze pamiętam pierwszą lekcję i moją nauczycielkę Panią Dorotę Kuryło.

Opisywałam barwy instrumentu i moje skojarzenia z nimi, rozpoczęła się też nauka nazewnictwa. Cieszyłam się, że zaczynam swoją przygodę z grą, która pod wpływem mojego zaangażowania i ciężkiej pracy przerodziła się w pasję i miłość do fortepianu, która trwa do dziś.

Twój końcowy egzamin z fortepianu był dość wyjątkowy i pokazał Twój geniusz. Możesz przybliżyć go naszym czytelnikom?

Moja nauczycielka była bardzo wymagająca, za co jestem jej dziś wdzięczna. Tak naprawdę całe dzieciństwo spędziłam przy pianinie. Nawet w wakacje miałam pracować nad kilkoma utworami, a że zawsze byłam ambitna, to odpoczynek i zabawa były na drugim miejscu i często brakowało na nie czasu. Na swoim końcowym egzaminie grałam m.in. ten sam utwór, co osoba o 6 lat starsza, która podjęła naukę w tym samym wieku. Po tym egzaminie moja nauczycielka nazwała mnie najlepszą uczennicą jaką kiedykolwiek miała.

Przyszedł czas, gdy dostałaś się do Studium Wokalnego Doroty Helbik-Słobodzian w Koszalinie. Każda wokalistka ma barwę i przedział skali wokalnej, jaki masz Ty?

Tak, w gimnazjum poszłam na casting do Studium i przeszłam go pomyślnie, śpiewając m.in. piosenkę „Bring me to life”

Evanescence i dołączyłam do zespołu, z którym podróżowałam, śpiewałam musicale, muzykę rozrywkową i tańczyłam. Na prywatnych lekcjach uczyłam się też śpiewu klasycznego. Moja pierwsza nauczycielka powiedziała, że jestem sopranem koloraturowym. Barwa głosu oczywiście nieco zmienia się z wiekiem. Na studiach poza musicalem i klasyką śpiewałam też jazz. Obecnie żaden gatunek muzyczny nie jest mi obcy, stosuję różne emisje głosu, mam bardzo dużą skalę.



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

Poświęcenie czasu na naukę, treningi wymagało pełnego skupienia, wielu wyrzeczeń najpierw dziecka, a później nastolatki, co wtedy myślałaś, a co myślisz dzisiaj?

W dzieciństwie czasem było mi przykro, że mam znacznie mniej czasu na rozrywkę niż moi rówieśnicy, ale kocham muzykę i nie żałuję, że poświęciłam jej praktycznie całe życie, a te przyjaźnie, które miały przetrwać, przetrwały. Pamiętam, że mój pierwszy chłopak bywał niezadowolony, że rzadko się widujemy, bo ciągle się uczyłam, ale był dość wyrozumiały i ta relacja trwała dłużej niż czasy szkolne, więc jeśli komuś zależy, to wszystko można pogodzić. Niczego w życiu nie żałuję, zwłaszcza pracy nad swoim rozwojem i pasjami. Nie wyobrażam sobie życia bez muzyki. Jak powiedział Nietzsche, „życie bez muzyki jest błędem".

Masz też wybitny talent lingwistyczny – władasz językiem angielskim z pełnym kunsztem mistrza i znasz też inne języki, do których masz dar. Studiowałaś filologię angielską na Politechnice Koszalińskiej, gdzie również jako jedyna miałaś możliwie najwyższą średnią ocen – 5.0! Jak wykorzystujesz ten kolejny talent?

Brałam udział w badaniu zdolności językowych i rzeczywiście wynik był bardzo wysoki, są one ponadprzeciętne. Oprócz angielskiego uczyłam się również m.in. francuskiego, szwedzkiego, teraz rosyjskiego, znam też sentencje łacińskie. Zdarzało mi się śpiewać także po włosku, arabsku, niemiecku, hiszpańsku. Jedną z moich pasji są podróże, więc znajomość języków zawsze się przyda. Jak jechałam do jakiegoś kraju, np. do Włoch, również uczyłam się choć trochę tamtejszego języka.

Poza tym, piszę też wiersze i teksty piosenek po angielsku oraz podejmuję się różnych tłumaczeń polsko-angielskich i angielsko-polskich, a także uczę tego języka. Jego znajomość daje także możliwość spróbowania swoich sił w aktorstwie i śpiewie za granicą.

Jakie jest Twoje pierwsze doświadczenie z teatrem?

Oczywiście już jako dziecko chodziłam do teatru, a po ukończeniu liceum miałam pierwszą styczność z profesjonalnym aktorem – Emilianem Kamińskim, który był pod wrażeniem mojego talentu aktorskiego i wokalnego i zgodził się bezinteresownie udzielić mi kilku lekcji. Mówił, że z moim talentem mógłby wpuścić mnie na scenę nawet po dwóch tygodniach pracy i trafnie przewidział, że bez problemu dostanę się do Szkoły Aktorskiej w Warszawie. Podeszłam do egzaminu wyłącznie w tym mieście.

Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

- 



Mam informację, że miałaś najlepsze wyniki w nauce w Szkole Aktorskiej w Warszawie. Szkoła zapewniała przez to jakąś pomoc finansową, wsparcie?

Tak, dostawałam stypendium za najlepsze wyniki, a było to przewidziane dla bardzo niewielu osób. W drugiej kolejności, stypendium dostała jeszcze tylko jedna osoba.

Wkładałaś dużo energii w swój rozwój. Studiowałaś później

także na kierunku wokalno-aktorskim w Teatrze Muzycznym w Gdyni, gdzie obroniłaś dyplom aktorki scen muzycznych. Gdzie trudniej było się dostać – do szkoły warszawskiej czy gdyńskiej?

Dostałam się do obydwu renomowanych szkół bez problemu, jednak były osoby, które zdały egzamin np. dopiero za piątym razem, czyli po pięciu latach. Do gdyńskiej szkoły zdawało kilkaset osób, a dostało się 10 dziewczyn włącznie ze mną.

Opowiedz jak wyglądały Twoje egzaminy wstępne oraz jakie masz wspomnienia związane z tymi szkołami.

Egzaminy były rozłożone na dwa dni, był etap taneczny, kształcenie słuchu, dykcja, śpiew i aktorstwo. Po każdym z tych etapów można było odpaść. Trzeba było przygotować po kilka piosenek, wierszy, fragmentów prozy, były różne etiudy, zadania aktorskie do wykonania i oczywiście rozmowa. W Warszawie egzaminy wyglądały podobnie i za moich czasów przyjmowano mniej osób niż dziś. Miałam przyjemność być uczennicą m.in. śp. Jana Machulskiego. Z obydwu szkół wiele wyniosłam. W Warszawie przeważały zajęcia aktorskie, w Gdyni również było ich sporo, a dodatkowo mieliśmy dużo tańca i śpiewu. Zajęcia zaczynały się już we wrześniu, trwały nieraz od rana do wieczora, od poniedziałku do soboty, więc to naprawdę dobra szkoła. Aktorskie szkoły państwowe w Polsce są czteroletnie.

Cieszę się, że ja studiowałam na tym kierunku aż sześć lat, z pewnością dużo mi to dało. W Teatrze Muzycznym w Gdyni występowałam już jako studentka, a wcale nie wszyscy studenci mieli taką szansę.



Tina Popko, fot. Paweł Szeterlak

Gdzie podjęłaś pierwszą współpracę po studiach?

Po studiach dostałam jedną z głównych ról w musicalu „Księżniczka Sara” w Teatrze Rampa w Warszawie. Mieszkając tam przez rok, podjęłam też wieloletnią współpracę z Teatrem Katarynka jako aktorka. Dodatkowo uczyłam śpiewu, gry na fortepianie, teatru i tańca. Po castingu w Rampie

zaproponowano mi też kolejną główną rolę w musicalu „W cieniu”, ale tej drugiej ostatecznie nie przyjęłam, bo wyjechałam na koncerty wokalne na Bliskim Wschodzie.

Współpraca z innymi teatrami oraz wspaniałe recenzje teatrologów, reżyserów, choreografów, doktorów czy dziennikarzy zamieszczone na Twojej stronie dowodzą, że jesteś w ich oczach wybitną artystką. Opisz, proszę, jak reaguje publiczność podczas Twoich występów.

Miały miejsce owacje na stojąco, dostawałam kwiaty i bileciki również od nieznajomych. Zdarzało się, że przed moją garderobą zbierały się osoby czekające na autograf. To miłe uczucie, gdy to, co robisz, trafia do widza. O to przecież w aktorstwie chodzi, by wywołać emocje, przemyślenia, zafascynować odbiorcę magią teatru. Zgadzam się z tezą Stanisławskiego, że należy pokochać teatr w sobie, a nie siebie w teatrze, więc ta radość, poczucie spełnienia, nie powinny być związane z próżnością.



„Księżniczka Sara”, reż. Teresa Kurpias-Grabowska , fot. Olga Cieślar



„Hotel Palace”, reż. Tomasz Czarnecki

Niewiarygodne, jak szybko Twoja kariera zaczęła nabierać tempa. Otrzymałaś propozycję i spróbowałaś swoich sił za granicą w Bahrajnie. Udowodniłaś, jak wielki masz talent, ponieważ spośród ogromnej ilości zgłoszeń wokalistów z całego świata wybrano właśnie Ciebie. Opowiedz, jak tam trafiłaś, z kim współpracowałaś, co tam robiłaś?

Gdy byłam w Warszawie, otrzymałam propozycję współpracy od pewnych muzyków. Nagraliśmy wspólnie demo, w którym śpiewałam, tańczyłam i stepowałam. Zgłoszenie zostało wybrane spośród wielu z całego świata i zaproponowano mi półroczny

kontrakt. To była bardzo dobra i przyjemna praca, żyłam w luksusowych warunkach, robiłam to, co kocham, a dodatkowo miałam sporo wolnego czasu, który mogłam poświęcić na jazdę konną, bieganie, pływanie, zwiedzanie i naukę nowych piosenek, ponieważ stale poszerzam swój bogaty repertuar. Minusem były jednak prywatne stosunki z muzykami, którzy okazali się być religijnymi fanatykami, więc mimo że mieliśmy propozycje kolejnych kontraktów w innych krajach, podziękowałam im za dalszą współpracę. Oni proponowali inne wokalistki na moje miejsce, lecz nie dostali wtedy kontraktu i wrócili do Polski razem ze mną. Skupiam się jednak na pozytywach i nie zapomnę cudownego uczucia, gdy występowałam przed widownią z wielu stron świata. Z niektórymi zdarzało się rozmawiać po koncercie, byli wśród nich muzycy, którzy doceniali mój talent. Po kontrakcie zwiedziłam cztery stany Indii i wróciłam do Bahrajnu, gdzie mieszkałam jeszcze przez rok, występowałam tańcząc w zespole Bollywood, uczyłam też stepu i baletu.



Występ taneczny w Bahrajnie

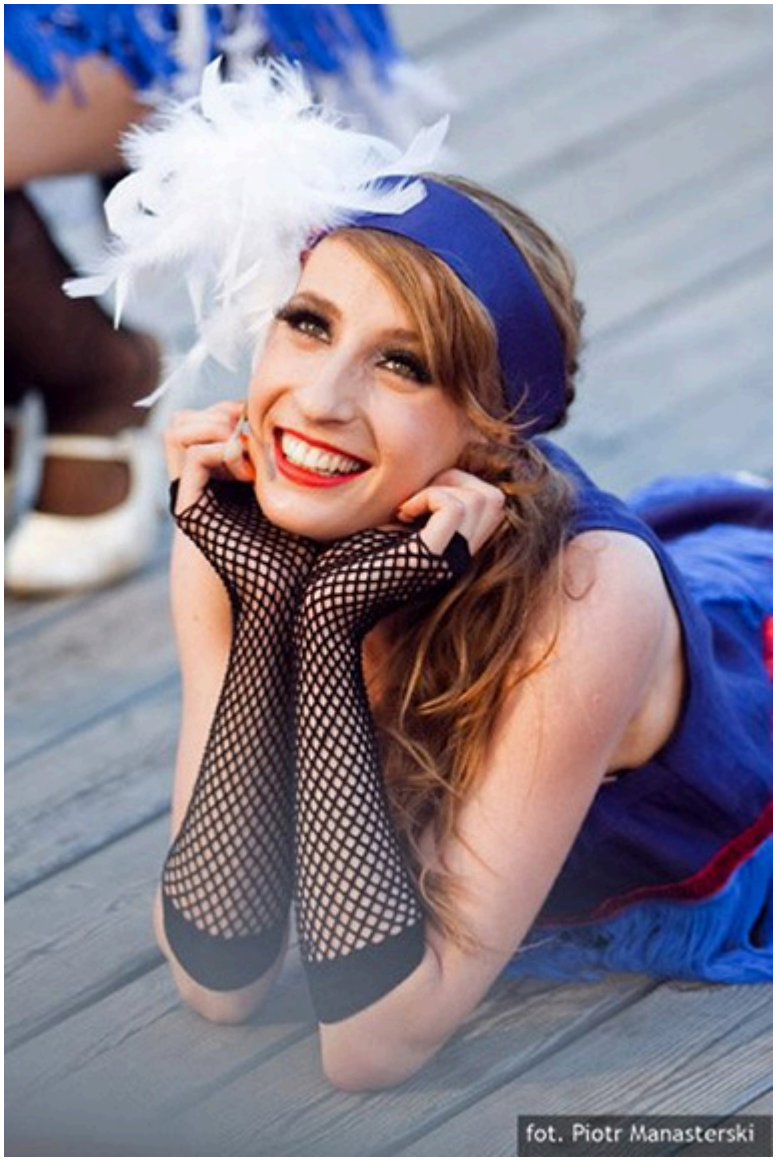
Wymień kilka plusów i minusów życia w Bahrajnie, jeśli chodzi o różnice np. w kulturze, mentalności ludzi, klimacie, w porównaniu z Polską.

W Bahrajnie skupiałam się na karierze. Nie mogłabym mieszkać tam na stałe, bo klimat mi nie odpowiadał. Przez większość roku temperatury były zbyt wysokie, wręcz nie dało się chodzić pieszo, więc wynajęłam sobie samochód. Zimy były dość chłodne i wietrzne. Klimatyzacja nie służy mojemu zdrowiu, ale plusem był brak alergii i wilgotność ciepłego powietrza. Lubiłam biegać w nocy, robiłam to po występach. Polski klimat też niezbyt mi odpowiada, jest za mało słońca w roku, a dla mnie mogłoby być ciągle lato. Nie lubię uogólniać, ale niestety większość Arabów, których poznałam, nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia. Bywali

nieempatyczni, agresywni, niesłowni, zaborczy i to w relacjach zawodowych lub koleżeńskich, bo innych nie było. Gdy mówią „inshallah”, to wiadomo, że tak naprawdę znaczy to „nie”, ale nie chcą tego powiedzieć wprost. Zdarzył się pomocny i bezinteresowny wyjątek, ale raczej nie szukałam sobie znajomych wśród tej narodowości. Podczas ramadanu nie można było jeść i pić w miejscach publicznych, ale Arabowie oczywiście robili to w swoich domach, natomiast w nocy ucztowali na całego, bo przecież „w nocy Allah nie widzi”. W Polsce jednak też jest pełno hipokryzji. Na szczęście Bahrajn jest bardziej tolerancyjny i otwarty niż np. Arabia Saudyjska, więc mogłam ubierać się po europejsku, choć słyszałam o przypadku dziewczyny ukaranej za odsłonięcie zbyt dużej części ciała podczas ramadanu, więc zawsze jest ryzyko, że trafi się na kogoś, komu się to nie spodoba i zechce naskarżyć. W Bahrajnie byłam świadkiem wojny między sunnitami a szyitami; kiedyś tuż przy mojej ulicy zobaczyłam druty kolczaste oddzielające dzielnicę, mężczyzn walczących ze sobą, rzucających kamieniami, paliły się opony i unosiły się wysoko ciemne chmury dymu. Wtedy przez chwilę się wystraszyłam i pomyślałam: „co ja tutaj robię?” Jestem jednak odważna i wcale nie spakowałam wtedy walizki. Dostawałam rady z użyciem Coca-Coli i mleka w razie gdybym znalazła się w miejscu, gdzie poczuję gaz. I tak spędziłam w Bahrajnie łącznie półtora roku. Plusami tej wyspy były stajnie z pięknymi końmi i wielbłądami, luksusowe, piękne miejsca i duża ilość plaży oraz tanie paliwo (śmiech).

Masz również role telewizyjne na swoim koncie. Czy praca przed kamerą, kiedy jest się aktorką jest łatwiejsza?

Uwielbiam pracę zarówno w teatrze, jak i przed kamerą. Pamiętam, że przy pierwszych nagraniach do serialu nie dostałam żadnych uwag i operator stwierdził, że miałam już w tym doświadczenie. Reżyserzy zawsze byli zadowoleni, więc mogę stwierdzić, że przychodzi mi to łatwo. Zawsze jednak jestem bardziej za teatrem. Uważam, że jest on głębszą sztuką niż film, nieporównywalnie wręcz. Pomijając cały proces tworzenia, wszelkie filmowe sztuczki i oszustwa, teatralne „tu i teraz" oraz obecność widza, mam na myśli wzruszenie, które w teatrze nie wynika tylko z łez szczęścia lub smutku, jak w filmie. Ja płaczę w teatrze jak tylko poczuję tę magię, prawdę, dreszcz. I nie lubię tego tłumaczyć osobom siedzącym obok (uśmiech).



Tina Popko w spektaklu „Słodkie lata 20.,30…”, reż. Jan Szurmiej

Tak jak mówisz, film i teatr to dwa odmienne światy. O filmach mówi się, że grają tam aktorzy, a często są to osoby bez szkół aktorskich. Czy nie jest to obraza profesjonalistów, którzy zasłużenie ukończyli szkoły teatralne posiadając do tego odpowiednią wiedzę, doświadczenie, kwalifikacje i szczególnie, jak Ty, talent?

My, zawodowi aktorzy, nie mamy wpływu na to, że w tym zawodzie wiele ról obsadza się po znajomości i nieraz dostają je

amatorzy. Nikt nie lubi, gdy ktoś mniej wykwalifikowany, nieprofesjonalny zabiera mu pracę, ale mimo wszystko wolę polegać na swoim talencie niż na znajomościach. Mamy w swoim środowisku takie zabawne określenie na „aktorów" bez szkoły, ale nie mogę go zdradzić (śmiech). Oczywiście amatorzy mogą mieć talent, ale warsztat i doświadczenie również są bardzo ważne, więc szkoła dużo daje. Według mnie, tylko osoba, która ma zarówno talent, jak i warsztat (szkołę), może nazwać się profesjonalistą.

Jakie role wolisz grać? Który z rodzajów spektakli jest Tobie najbliższy?

Tutaj będzie ciężko zdecydować, ponieważ lubię zarówno dramat, musicale, poważne sztuki, jak i komedie. Gdybym miała do wyboru rolę grzecznej dziewczyny i czarny charakter, wybrałabym to drugie. Jestem jednak bardzo wrażliwa i pamiętam, że gdy przyszło mi grać złą kobietę, właścicielkę pensji, która okrutnie potraktowała swoją podopieczną, wzruszałam się w domu ucząc się roli, tak bardzo było mi żal poszkodowanej dziewczynki. Granie tych spektakli kosztowało mnie wiele energii, płakałam prawdziwymi łzami po zdemaskowaniu mojej postaci, zawsze daję z siebie 100%. Nie znaczy to jednak, że rolę romantycznie zakochanej dziewczyny uznałabym za nudną, chętnie bym ją przyjęła.

Masz jakieś wzorce ze świata aktorów?

Nikogo nie naśladuję, bo też nie na tym polega dobre aktorstwo, a do moich ulubionych aktorów należą Robert de Niro i Leonardo DiCaprio. We własnej grze kieruję się systemem Stanisławskiego oraz metodami nauczonymi w szkołach, naturalnością i prawdą.

Druga część rozmowy ukaże się w poniedziałek, 19 października 2020 r.



Tina Popko w programie telewizyjnym „Szansa na sukces”

Tina Popko jest artystką o wielu talentach: aktorskim, wokalnym, muzycznym, tanecznym, kompozytorskim, poetyckim, plastycznym. Ukończyła Szkołę Muzyczną im. G. Bacewicz w Koszalinie w klasie fortepianu, uczęszczając

także na dodatkowe zajęcia plastyczne. (...) Tina zakończyła edukację w Szkole Aktorskiej w Warszawie jako najlepsza studentka i rozpoczęła naukę na kierunku wokalno-aktorskim w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Na deskach tego teatru debiutowała już jako studentka (...) Wystąpiła w wielu spektaklach musicalowych i dramatycznych, m.in. „My Fair Lady", „Grease", „Shrek" w reż. M. Korwina, „Disco Polo- wieczór poezji śpiewanej", „Hotel Palace" w reż. T. Czarneckiego, „Maszyneria mitu" w reż. T. Podsiadłego (...) Po studiach zasłynęła w warszawskim teatrze „Rampa" rolą Panny Minchin w spektaklu „Księżniczka Sara" w reż. Teresy Kurpias-Grabowskiej i nagrała pierwszą płytę – z piosenkami musicalowymi (...) Śpiewała dla widowni z wielu stron świata, a także została gwiazdą profesjonalnego hinduskiego zespołu tanecznego (...) Była również nauczycielką stepu dla dorosłych i baletu dla dzieci, m.in. w Ballare School of Performing Arts i w Harmony Music Gate w Bahrajnie (...) (Biografia ze strony internetowej artystki).

Występując zwiedziła już Europę oraz Azję i nadal daje koncerty, spełnia się też jako aktorka teatralna i telewizyjna. Dodatkowymi atutami Tiny jako aktorki są zainteresowania wieloma dziedzinami sztuki i nauki, umiejętność jazdy konnej na poziomie zaawansowanym i

znajomość języków obcych. Ponadto, artystka ma duże doświadczenie w dubbingu, użycza głosu do reklam, audiobooków, gier komputerowych.

Linki:

Strona Internetowa: http://www.tinapopko.com.pl/

Nowa strona: http://tinapopko.pl/

Facebook: https://www.facebook.com/Tina-Popko-actress-singer-model-1031026612906 58

Kanał YouTube: https://www.youtube.com/channel/UC_aFPggDoqWppYNJvcaw2yQ

Instagram: https://www.instagram.com/tina.popko/

Janina Smolińska: amerykański sen pięknej Polki



Janina Smolińska w Hollywood, fotografia sytuacyjna (fot. ze zbiorów NAC, Koncern
Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji. Sygnatura:

1-K-9047)
Marek Teler

Niewielu jest Polaków, którzy osiągnęli ogromne sukcesy w Hollywood. W dwudziestoleciu międzywojennym było ich kilku. Historia Janiny Smolińskiej, która próbowała wtedy zawojować wytwórnie filmowe Los Angeles, pokazuje przy tym, że amerykański sen może zakończyć się równie prędko,jak zacząć.

Aktorka, tancerka, nieoficjalna Miss Polonia i korespondentka zagraniczna magazynu „Kino" – w latach 20. i 30. XX wieku Janina Smolińska była w Polsce uważana za międzynarodową gwiazdę wielkiego formatu. Dziennikarze walczyli o możliwość przeprowadzenia z nią wywiadu, a o jej skomplikowanych małżeńskich perypetiach rozpisywała się amerykańska prasa bulwarowa. Dzisiaj aktorka ta jest postacią całkowicie zapomnianą. Na szczęście prasa sensacyjna z okresu dwudziestolecia międzywojennego pozwala nam częściowo zrekonstruować jej złożony życiorys.

Na scenach Moskwy i Paryża

Janina Smolińska przyszła na świat w 1897 roku na Mazowszu jako córka Edwarda Smolińskiego i Wandy z Rutkowskich. Rok urodzenia artystki znany jest z listy pasażerów transatlantyku płynącego z portu Cherbourg do Nowego Jorku w 1928 roku, tam też podano jako miejsce urodzenia „Poltzk", czyli Płock. Nie

można jednak wykluczyć, że Smolińska, chcąc ukryć fakt urodzenia się na wsi, podała w dokumentach nazwę najbliższego większego miasta. W latach 1899–1908 rodzice Smolińskiej mieszkali bowiem we wsi Konopki w gminie Stupsk, gdzie urodziło się młodsze rodzeństwo aktorki: w 1899 roku Zofia, w 1905 roku Czesław, a w 1908 roku Wiktoria.

W późniejszych latach Janina Smolińska wzorem wielu koleżanek po fachu często odejmowała sobie lat. W akcie ślubu z 1931 roku podała rok urodzenia 1899, zaś w wywiadzie dla „Rzeczypospolitej" z grudnia 1928 roku oszukała dziennikarza, że urodziła się w 1905 roku w Warszawie. Zalotnie dodała przy tym: „Z wieku mojego nie robię żadnej tajemnicy".

Kiedy Janina miała czternaście lat, rodzice wyjechali z nią do Rosji. Jako, że od wczesnego dzieciństwa fascynowała się teatrem i tańcem, państwo Smolińscy zapisali ją do szkoły baletowej działającej przy operze moskiewskiej. W wywiadzie dla „Kina", w którym aktorka opowiadała o swojej młodości, nie padła wprawdzie nazwa tej instytucji, ale z całą pewnością musiał to być słynny Teatr Bolszoj, który od wielu lat patronował Moskiewskiej Akademii Choreografii. W tym czasie Akademii przewodził wybitny baletmistrz i choreograf Wasilij Tikhomirov. Dyrektor ten uczył tańca w sposób bardzo klasyczny, unikając wkradającego się do sztuki baletowej nowatorstwa.

Smolińska okazała się pilną uczennicą i szybko stała jedną z głównych tancerek w zespole. Wkrótce wraz z grupą taneczną wyruszyła na światowe tournée. Przez cztery lata młode dziewczęta podróżowały przez centrum Rosji, Syberię, Mandżurię, Japonię, Turcję, Bułgarię, Rumunię i Czechosłowację. Polska tancerka miała wówczas okazję występować na scenach w Piotrogrodzie (Petersburgu), Tokio i Konstantynopolu. „Nie straciła Ojczyzna moja w mych oczach na zestawieniu z najbogatszymi czy najpiękniejszymi krajami na którejkolwiek półkuli świata. Podziwiać można ziemie obce i nieraz można zachwycać się nimi i lubić szczerze to albo inne otoczenie; ale ziemię swoją rodzoną miłuje się przecież jak matkę" – pisała o swoich licznych zagranicznych wojażach w korespondencji dla „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" z marca 1930 roku.

W 1918 roku Janina została zaangażowana jako koryfejka (baletnica tańcząca w wyróżnionej grupie tancerek, ale jeszcze nie solistka) do baletu w Jassach i zapewne jeszcze w tym samym roku wyszła za mąż za pułkownika rumuńskiej armii. Nigdy nie podała w żadnym wywiadzie jego nazwiska, był to zresztą bardzo krótki związek. Pierwszy mąż Smolińskiej, stojący po stronie białych, zginął wkrótce w czasie walk z bolszewikami. Po śmierci męża, dowiedziawszy się o odzyskaniu przez Polskę niepodległości, stęskniona za ojczyzną tancerka porzuciła szkołę baletową i postanowiła wrócić do odrodzonego kraju.

W Polsce Janina Smolińska spróbowała swoich sił w aktorstwie. Wiadomo, że w 1922 roku wystąpiła w niemym filmie Za trzy spojrzenia produkcji wytwórni Estefilm Katowice, zaś w 1923 roku w Od kobiety do kobiety, w którym główną rolę grał jeden z najwybitniejszych polskich aktorów teatralnych – Józef Węgrzyn. Mając wciąż w pamięci sale pełne ludzi oglądających jej występy taneczne, Smolińska liczyła na to, że w krótkim czasie stanie się gwiazdą filmową. Na wielką karierę w Polsce nie miała jednak większych szans. „Grałam w kilku filmach polskich, ale wyniki pracy były tak znikome, że liczyć się z nią nie należy" – wspominała ten epizod z życia na łamach „Kina" w 1932 roku.

W 1924 roku wyjechała więc do Paryża, gdzie postanowiła wrócić do korzeni i zatrudnić się jako tancerka. Nabyte w prestiżowej Moskiewskiej Akademii Choreografii umiejętności sprawiły, że po kilku miesiącach spędzonych w teatrze Palace stała się jedną z głównych gwiazd Folies Bergère, kultowej paryskiej sali koncertowej. W 1925 roku wystąpiła między innymi jako Le Chianti u boku francuskiej aktorki Suzy Béryl w rewii Un Soir de Folie. Smolińska nie bała się wyzwań i nagich scenicznych występów przed ogromną widownią. Wieść o rewiach z udziałem Polki szybko dotarła do polskiej prasy. W lutym 1926 roku jedna z lwowskich gazet opisała spektakl, w którym Smolińska grała japońską kurtyzanę: „«Robiła» ją Smolińska zupełnie naga, zasłaniając jedynie trzymanym w ręku czarnym kotem miejsca, które pruderia, nieprzezwyciężona

nawet przez współczesne music-halle, każe na scenie zasłaniać”.

Jednocześnie jednak Janina Smolińska nie rezygnowała z ambitniejszych przedsięwzięć. W Paryżu zagrała w kilku nowatorskich filmach wytwórni Pathé, łączących animację z grą prawdziwych aktorów. Nad całością prac czuwał pionier polskiego filmu rysunkowego, Stanisław Dobrzyński. „Paryż pieścił mnie, jeśli się można tak wyrazić. Role miałam pierwszorzędne, uznanie krytyki, jakie tylko wymarzyć sobie można i objawy uwielbienia ze strony publiczności” – wspominała na łamach „Ikaca” w 1930 roku. Wkrótce o urodzie polskiej tancerki z Folies Bergère zrobiło się głośno, piękno pomogło jej też w późniejszych latach dostać się do Hollywood.



Fotos z filmu Monsieur Le Fox. W środku z pakunkiem stoi Gilbert Roland. Po jego
lewej stronie (oznaczona jako „I“ – Lena Molena, po prawej, oznaczona jako „II“
– Janina Smolińska (fot. ze zbiorów NAC, Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny –
Archiwum Ilustracji. Sygnatura: 1-M-2787-2)

U bram Hollywood

13 września 1927 roku Janina Smolińska wzięła udział w wyborach „La belle de Deauville”, w których nagrodą miała być główna rola kobieca w filmie o tym samym tytule w reżyserii Henriego Diamanta-Bergera. Podobny konkurs miał też na celu wyłonienie głównej roli męskiej. Ostatecznie w żeńskiej kategorii

zwyciężyła panna Renée Méré i to ona podpisała kontrakt filmowy z wynagrodzeniem wynoszącym 50 tysięcy franków za rolę. Smolińska zajęła drugie miejsce, ale ponieważ nie wybrano w konkursie żadnego mężczyzny, podjęto decyzję, że również zostanie zaangażowana do filmu w jednej z głównych ról. O samej produkcji, jeżeli w ogóle została nakręcona, brak jakiejkolwiek informacji.

Z kolei pod koniec maja 1928 roku artystka uczestniczyła w konkursie piękności aktorek filmowych w Brukseli. Wyróżniała się na tle innych kandydatek niebanalną urodą, dzięki czemu pokonała trzysta innych kobiet z całego świata i otrzymała tytuł nieoficjalnej polskiej Miss Polonia (pierwszą polską miss z prawdziwego zdarzenia została rok później warszawianka Władysława Kostakówna). Tak opisywał urodę Smolińskiej cztery lata później dziennikarz „Kina": „Uroda – niezwykle oryginalna i frapująca, chwilami nawet niepokojąca. Heban włosów, głęboko osadzone, żywe i pełne niesamowitego blasku oczy i uśmiech… dziecka. Cocktail. Dziwne połączenie wampira i dziecka". Urodę polskiej gwiazdy doceniono również na konkursach piękności w Londynie i Paryżu.

„Dostaję tysiące propozycji małżeńskich, nawet z najbardziej egzotycznych krajów. Jestem stale oblegana przez ciekawych, niedających mi spokoju fotografów. Ach, panie, jakim przekleństwem jest dla mnie czasami moja piękność" – narzekała

nieskromnie na nadmierną popularność w rozmowie z dziennikarzem „Rzeczypospolitej” w grudniu 1928 roku.

23 listopada 1928 roku Janina Smolińska po ośmiodniowej podróży przybyła z Francji do USA. W polskiej i amerykańskie prasie pisano, że brała udział w wyborach Miss Universe w Galveston, w Teksasie, lecz nie figuruje ona na liście kandydatek do tytułu. Ponadto teksański konkurs Miss Universe 1928 odbył się 4 czerwca 1928 roku, zatem urodziwa Polka musiała wziąć udział w innym konkursie piękności, być może również noszącym nazwę „Miss Universe”. Wiosną 1929 roku występowała między innymi w teatrze Capitol w Detroit, a polskie dzienniki sensacyjne pisały o jej planach poślubienia księcia Sergiusza Wołkońskiego, prowadzącego w tym mieście szkołę fechtunkową. Ostatecznie jednak do małżeństwa nie doszło, a artystka po kilku miesiącach wyjechała do Los Angeles.

Wkrótce Smolińska otrzymała ofertę zagrania w kilku hollywoodzkich filmach wytwórni First National Pictures oraz Metro-Goldwyn-Mayer. Już po kilku miesiącach trafiła na plan „Płomiennej piosenki” w reżyserii Alana Croslanda. Praca w Hollywood nie należała jednak do najłatwiejszych. W 1930 roku tak żaliła się warszawskiemu miesięcznikowi „Naokoło świata”: „Trzeba przecież ciągle ładnie wyglądać, a skąd czerpać to piękno, gdy się jest bezustannie niewyspaną. Nie można tu myśleć o swobodzie, a zawsze trzeba pozować, ciągle trzeba być

lalką i choć nie dla filmu a jednak grać. Zawsze trzeba być ostrożną i sprytną, zawsze stosować więcej dyplomacji, niż zaufania. A w dodatku tego wszystkiego bardzo często nie rozumieć co zazdrosne usta mówią lub nawet nie rozumieć co życzliwie radzą".

Do filmów malował ją jednak wybitny Max Factor (Maksymilian Faktorowicz), a poza tym była otoczona kwiatami i luksusowymi willami, w których mieszkały największe gwiazdy kina, zatem nie miała na co narzekać. W „Płomiennej piosence" polska artystka kierowała 300-osobową grupą taneczną, lecz jej rola należała do drugoplanowych.

Nie obyło się też bez małego skandalu z udziałem tancerki – kiedy reżyser Crosland zdążył już krzyknąć „Kamera, akcja!", okazało się, że strój Smolińskiej jest zbyt skąpy jak na ówczesne wymagania hollywoodzkich cenzorów. Ostatecznie film odniósł ogromny sukces i doczekał się nawet nominacji do Oscara za najlepszy dźwięk. Rok później na ekranach kin pojawił się „Monsieur Le Fox", w którym również można było zobaczyć polską piękność. W tym czasie o Janinie Smolińskiej zrobiło się w polskiej prasie sensacyjnej naprawdę głośno. Do kraju napływały zdjęcia z Hollywood. Polka pojawiała się na nich obok takich gwiazd, jak choćby Gilbert Roland, wybitny amerykański aktor meksykańskiego pochodzenia.
Z kolei zagraniczny dziennik „Hollywood News" nazwał

Smolińską jedną z najurodziwszych i najbardziej utalentowanych artystek.

W Mieście Aniołów z pewnością pomagali odnaleźć się Smolińskiej inni przedstawiciele tamtejszej Polonii. W tym samym czasie karierę w USA robił między innymi niegdysiejszy student Politechniki Warszawskiej, Edward Zylberberg-Kucharski, obsadzany w amerykańskich filmach w rolach latynoskich kochanków pod pseudonimem Eduardo Raquello. Pod obco brzmiącymi nazwiskami, takimi jak Pola Negri, Gilda Gray czy Estelle Clark, kryły się aktorki polskiego pochodzenia – Apolonia Chałupiec, Marianna Michalska i Stanisława Zwolińska. W Ameryce od kilku lat przebywał również Paweł Faut, którego Smolińska poznała w Polsce na planie filmu „Za trzy spojrzenia". Młody aktor był aktywnym działaczem Polonii, a jego płyta „Polish Eagles" sprzedała się w USA w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy.

Smolińska zaangażowała się w informowanie polskiej prasy o losach mieszkańców Los Angeles, zostając korespondentką zagraniczną magazynu „Kino" i dziennika „Ilustrowany Kurier Codzienny". Dzieliła się między innymi najnowszymi informacjami na temat Grety Garbo, Carol Lombard i Clary Bow. Z kolei w listopadzie 1930 roku donosiła o kryzysie przemysłu filmowego w Hollywood i plotkach na temat planów przeniesienia całego biznesu do Nowego Jorku. „Mary Pickford i

Charlie Chaplin sprzeciwiają się temu, bo nie chcą opuścić słonecznej Kalifornii, ale też nie chcą uwierzyć w podszepty zakulisowych finansistów, których „genialne” pomysły mogą znów doprowadzić do katastrofy tak, jak się obraca w katastrofę „business” filmu dźwiękowego, a to z przyczyn, które zaraz wytłumaczę” – snuła swoją dramatyczną wizję artystka. Ostatecznie stolica amerykańskiej kinematografii pozostała na swoim miejscu, chociaż już wkrótce zabrakło w niej miejsca dla Janiny Smolińskiej.



Jan Kiepura i Janina Smolińska w Paryżu w 1928 roku (fot. ze zbiorów NAC, Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji. Sygnatura: 1-K-8269)



Janina Smolińska na fotografii sytuacyjnej (fot. ze zbiorów NAC, Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji. Sygnatura: 1-K-9046)

Czar pryska

Problemem dla polskiej artystki okazało się prawo pobytu w Stanach Zjednoczonych. Ze względu na pracę w wytwórni Firs

National Pictures, 23 listopada 1929 roku przedłużono jej możliwość legalnego przebywania w Ameryce o pół roku, lecz po tym czasie Smolińska z jakiegoś powodu nie zwróciła się z wnioskiem o kolejną prolongatę. Możliwe, że przez te właśnie kłopoty aktorki Universal Pictures zrezygnowało z obsadzenia jej w głównej roli w jednym ze swoich filmów. Sytuacja stała się na tyle poważna, że 16 czerwca 1931 roku wydano wobec Smolińskiej nakaz aresztowania. 22 czerwca artystka znalazła się w więzieniu, lecz natychmiast, po wpłaceniu kaucji w wysokości 500 dolarów, została uwolniona. O wszystkich wydarzeniach związanych z problemami pięknej Polki w Hollywood skrupulatnie informowały amerykańskie dzienniki, między innymi „Reading Eagle", „Pittsburgh Post-Gazette" i „Miami Daily News". Na wydłużenie prawa pobytu w Stanach Zjednoczonych imigranci mieli różne sposoby. Jednym z najpopularniejszych były krótkie wyjazdy do Meksyku, po których mogli automatycznie odnowić prawo zamieszkania w USA.

Janina Smolińska znalazła inny sposób – małżeństwo. 3 września 1931 roku w Santa Ana w Kalifornii Smolińska zawarła cywilny ślub z 47-letnim rozwiedzionym przedsiębiorcą Wacławem Walterem Grabowskim, który na początku XX wieku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych z Raciąża. Prowadził on firmę, która dostarczała peruki do hollywoodzkich filmów. Wybranek Janiny był również aktywnym działaczem polonijnym,

prezesem zrzeszenia polsko-amerykańskich klubów w Kalifornii. W 1928 roku podejmował w swoim mieszkaniu Jerzego Jelińskiego, polskiego harcerza, który w ciągu dwóch lat objechał samochodem świat dookoła.

Małżeństwo z Grabowskim było wyjątkowo nieudane, a początkowa sielanka szybko zamieniła się w koszmar. Biznesmen zarzucał żonie, że późno wraca do domu i źle się prowadzi, a 31 grudnia 1931 roku w tajemnicy przed nią złożył pozew o rozwód. Rozpoczęło to prawdziwą batalię w sądzie i na łamach prasy. Smolińska pokazywała sędziemu Charlesowi B. McCoyowi posiniaczone ramiona i nogi, kreując się na ofiarę przemocy domowej. Grabowski z kolei mówił, że to żona zaatakowała go pierwsza, czego dowodem miało być jego podbite oko. Według Janiny i jej adwokata, L. A. Blooma, wina leżała po stronie męża.

Pierwotnie miał zgodzić się na ślub w celu przedłużenia aktorce pobytu w Kalifornii oraz na jej wyjazd na kilka miesięcy do Polski. Kiedy jednak Smolińska czekała na pociąg do ojczyzny, dowiedziała się z prasy, że Grabowski złożył pozew rozwodowy. Chociaż w połowie lutego 1932 roku Walter Grabowski wycofał pozew i pogodził się z żoną, medialna szopka, którą małżonkowie urządzili w amerykańskiej prasie, poważnie zaszkodziła ich karierze. Janina chciała przede wszystkim odpocząć i wrócić do ojczyzny, gdzie czekali na nią z utęsknieniem krewni i dziennikarze, dla których nadal miała nieskazitelną opinię.

Jeszcze w trakcie procesu rozwodowego, 5 lutego 1932 roku, wsiadła więc w pociąg do Nowego Jorku, skąd miała się udać w drogę powrotną do Polski. Jak utrzymywali znajomi Grabowskich, to Walter kupił żonie bilet i dał tysiąc dolarów na nieprzewidziane wydatki na trasie.

Po krótkim pobycie w Paryżu, 29 maja 1932 roku Smolińska znalazła się już w Hotelu Europejskim w Warszawie, gdzie udzieliła wywiadu przedstawicielowi magazynu „Kino". Pragnęła odpoczynku od nadmiernego zainteresowania, jakie w ostatnim czasie wywołała. „Wyjeżdżam nad polskie morze, na Hel. Niech się trochę pocieszę jego widokiem" – opowiadała o swoich planach na łamach gazety. W rozmowie zwierzyła się również z pomysłu nakręcenia filmu „Emigrant", opowiadającego o losach polskiej emigracji w Ameryce. Ostatecznie produkcja nie została zrealizowana.

Powrót do korzeni

Smolińska miała spędzić w Polsce tylko pół roku, ale została na prawie dwa lata, budząc powszechny podziw na warszawskich salonach. Na początku 1933 roku wzięła udział w Balu Mody w Hotelu Europejskim, na którym otrzymała pierwszą nagrodę za suknię balową ze rdzawej tafty dzieła popularnego warszawskiego domu mody Goussin Cattley. Pobyt w ojczyźnie zaowocował jednak również kolejnym skandalem obyczajowym z udziałem Smolińskiej. 18 maja 1933 roku na łamach „Dobrego

Wieczoru” ukazała się informacja, że pisarz Stanisław Brochwicz-Kozłowski, jakoby narzeczony aktorki, oskarżył ją o przywłaszczenie 2500 zł i cennych kosztowności oraz pobicie. Wszystko było oczywiście wierutnym kłamstwem, do czego po tygodniu przyznał się sam autor pomówień. „Wszelkie zarzuty przeciw p. Janinie Smolińskiej o przywłaszczenie i działanie na moją szkodę są pozbawione prawdy. Dobre imię p. Smolińskiej, która tak wiele zdziałała na całym świecie dla propagandy polskiej sztuki, nieskazitelność i szlachetność jej charakteru wykluczają możliwość popełnienia przez nią czynów nieetycznych” – tłumaczył w liście do redakcji „Dobrego Wieczoru” Brochwicz-Kozłowski, załączając przeprosiny za wyrządzoną jej krzywdę moralną. Sam autor zamieszania, który już przed wojną sympatyzował z nazistami, zostanie w 1941 roku zamordowany przez polskie podziemie jako niebezpieczny agent gestapo.

Mimo afery z Brochwiczem-Kozłowskim Smolińska bardzo miło spędziła czas w ojczystym kraju. W listopadzie 1933 roku zachwycała się na łamach lwowskiej „Awangardy” perspektywą budowy w Brzuchowicach pod Lwowem nowej wytwórni filmowej, stale podkreślała też swoją troskę o Polskę i jej obraz na arenie międzynarodowej. „Wszystko się ogromnie posuwa naprzód. Jedno mam tylko zastrzeżenie: za mało jest u nas reklamy i propagandy, za mało krzyczymy o sobie” – mówiła o kraju w rozmowie z dziennikarzem Karolem Fordem tuż przed

kolejnym wyjazdem do Hollywood w styczniu 1934 roku. Chwaliła się również, że podczas pobytu w Los Angeles ogłosiła międzynarodowy konkurs na najpiękniejsze pismo filmowe, w którym „Kino" zdobyło pierwszą nagrodę. To właśnie z tym pismem Smolińska miała zawsze najlepsze relacje, pojawiła się w nim nawet jako gwiazda z okładki (w 1930 roku jej kadr z filmu „Płomienna piosenka" trafił też na okładkę „Światowida"). W Mieście Aniołów czekali na nią mąż Walter Grabowski oraz wytwórnia First National Pictures, która postanowiła odnowić z nią kontrakt, ale amerykański sen nie spełnił się już po raz drugi. Paryż, w którym miała się zatrzymać w drodze do Stanów Zjednoczonych, z jakiegoś powodu stał się jej domem na kolejne lata.

W lipcu 1934 roku Janina Smolińska w wywiadzie udzielonym dziennikarce „Kina" Thei Weinberg, piszącej jako Thea Incognito, zdradziła, że Folies Bergère chce ponownie nawiązać z nią współpracę. Nie była jednak pewna, jaką podjąć decyzję. „Mam dość kontraktów i dosyć… doświadczenia" – tłumaczyła. Pracowała w tym czasie nad własną rewią objazdową, planowała wyjazdy do Ameryki Południowej i Afryki Północnej oraz chwaliła się propozycjami filmowymi od francuskiego studia Pathé-Natan i polskiego reżysera Jana Kucharskiego. Pierwszą ofertę odrzuciła od razu – właściciel Pathé Bernard Natan cieszył się w prasie złą sławą, a jego firma miała już w tym czasie duże problemy finansowe. Druga propozycja zakładała wyjazd na kilka

miesięcy na afrykańską wyspę Fernando-Po (obecnie Bioko). „Czy film na Fernando-Po jednak porwie Smolińską, czy też jej praca nad rewią, twórcza i samodzielna zatrzyma ją na dłużej?" – zastanawiała się reporterka „Kina".

W czerwcu 1935 roku polska artystka pojawiła się na okładce „Paris Music Hall". W skąpym kostiumie rewiowym, ze smukłą sylwetką baleriny podpisana jako „Janina Smolińska. Gwiazda Hollywood" promowała najnowsze przedstawienie, w którym brała udział. Po niemal dziesięciu latach szukania swojego miejsca w świecie wybrała powrót do korzeni, na deski ukochanej sceny Folies Bergère. Nie chciała jednak tylko występować. Lata pracy na scenie sprawiły, że postanowiła podzielić się swoją cenną wiedzą z innymi młodymi dziewczętami, które również marzyły o karierze tanecznej. Pod koniec lat 30. Smolińska założyła własny zespół baletowy o nazwie Balet Polski, do którego zaangażowała polskie tancerki mieszkające we Francji. Część organizowanych przez artystkę spektakli miała charakter typowo rewiowy, chociaż zdarzały się również tańce dziewcząt w polskich strojach ludowych.

W 1938 roku występ zespołu Smolińskiej w Paryżu oglądał między innymi konsul generalny Rzeczypospolitej, Stanisław Kara. O polskiej gwieździe znów rozpisywała się prasa, a Smolińska znalazła swoje miejsce na ziemi. W czerwcu 1939 roku magazyn „As" donosił o występach baletu Baletu Polskiego

w Nicei i planach światowego tournée grupy, którego zwieńczeniem miał być występ w Nowym Jorku. Dziennikarz „Asa” tak pisał o zespole Smolińskiej: „Francuzi oceniają niezmiernie życzliwie działalność artystyczną świetnej tancerki Janiny Smolińskiej, jak również jej owocną pracę pedagogiczną, która daje pierwszorzędne rezultaty”.

Działalność „Baletu Smolińskiej”, jak ochrzciła go polska prasa, została jednak brutalnie przerwana przez wybuch II wojny światowej. W okresie działań zbrojnych Janina Smolińska nie zapomniała o swojej ojczyźnie i angażowała się w życie kulturalne francuskiej Polonii. 16 lutego 1940 roku paryski „Narodowiec” donosił, że gościła na uroczystej premierze spektaklu Teatru Polskiego w Paryżu z udziałem emigracyjnych władz, gdzie w główne role wcielali się m.in. Zbigniew Ziembiński i Irena Eichlerówna. O dalszych losach artystki wiadomo niewiele.

Jeszcze w latach 50. mieszkała w Paryżu przy Rue Saint-Marc. W 1954 roku prestiżowe pismo taneczne „Dancing Times” donosiło, że artystka założyła własną szkołę taneczną i planuje realizację nowego programu baletowego. Z rodzimych gazet zniknęła jednak całkowicie. W prasie pogrążonej w mrokach stalinizmu Polski Ludowej nie było już miejsca, aby informować o Polce, która próbowała podbić Hollywood i z sukcesem zawojowała Paryż.

Marek Teler: Zapomniani artyści II Rzeczypospolitej, Promohistoria (Histmag.org),Warszawa 2019.



Wśród polskich biografów zajaśniała nowa gwiazda! Dziennikarz Marek Teler – niestrudzony i utalentowany detektyw – z niespotykaną drobiazgowością przeprowadził serię śledztw dotyczących losów polskich artystów, którzy podczas II wojny światowej opuścili krąg scenicznych reflektorów i rozpłynęli się w mroku. Po dekadach możemy poznać ich historie, które okazują się bardziej zdumiewające

> i zawikłane od ich filmowych i estradowych kreacji – mówi o książce Marcin Szczygielski.

Marek Teler (ur. 1996) – dziennikarz, popularyzator historii, bloger. Współpracownik portalu historycznego Histmag.org i czasopisma „Focus Historia”. Interesuje się między innymi historią kobiet oraz genealogią. Autor książek: „Kobiety króla Kazimierza III Wielkiego” oraz „Kochanki, bastardzi, oszuści. Nieprawe łoża królów Polski: XVI–XVIII wiek”.

Wśród polskich aktorów dawnego kina światową sławę osiągnęli nie tylko Eugeniusz Bodo, Mieczysław Fogg czy Jan Kiepura, ale także mnóstwo innych osób, których błyskotliwe kariery legły w gruzach po wybuchu II wojny światowej. Marek Teler w swojej najnowszej książce „Zapomniani artyści II Rzeczpospolitej” na nowo odkrywa historie zapomnianych polskich gwiazd. Poznajemy m.in. losy sławnej Iny Benity, odkrywamy kłamstwa arystokraty-skandalisty ukrywającego się pod pseudonimem „Harry Cort” oraz podążamy za karierą Edwarda Raquello, etatowego amanta Hollywood, a później wymagającego szefa „Głosu Ameryki”, a także wielu innych artystów, których zawiłe życiorysy same w sobie stanowiłyby scenariusz dobrego filmu. Dużą wartością książki są cenne źródła historyczne, takie jak relacje członków rodziny, wypowiedzi z ówczesnych czasopism czy oryginalne zdjęcia, dzięki którym można porównać

współczesne ideały piękna z tymi przedwojennymi.

Od wydawnictwa

Książka Marka Telera ukazała się w wersji papierowej: 14.01.2020 r. Jest dostępna w formie papierowej: https://histmag.org/fizyczny_sklep oraz elektronicznej: https://histmag.org/sklep